
Zeszyty Łukowieckie

Numer 4

Styczeń-Marzec 2004 rok

Gazeta informacyjna

Od Autora!

Kolejny „Zeszyt” zawiera otrzymane od pani Bogusławy Dębickiej niezwykle wspomnienia z okresu II wojny światowej księdza Romana Dacy proboszcza Nowosielec-Zurawna. Pani Bogusława dzieli się również z nami przeżyciami jej rodziny z czasów wojny i z okresu powojennego. Przysłała nam również list z Niemiec napisany przez przesiedleńców, który w jakiś sposób obrazuje relacje powojenne pomiędzy Polakami, a Niemcami mieszkającymi wspólnie do momentu wysiedlenia Niemców na Zachód. Z listu i z wcześniejszych wspomnień Pana Edwarda Sabata (Zeszyt numer 2) wynika bardzo korzystny stosunek Polaków do Niemców. Wiem, iż nie wszędzie było tak dobrze. Nawet na Wałach Śląskich jeden Niemiec został zabity. Za co - dziś trudno powiedzieć. Zdarzały się i szabry i pobicia, spychanie Niemców do jednej czy dwóch izb. Było rozmaicie, ale i tak było lepiej niż Niemcy mogli się spodziewać. Obrona niemieckich rodzin przed szabrownikami czy żołnierzami radzieckimi nie należały do rzadkości. Rosjanie na zdobytych ziemiach zachowywali się jak władcy. Było to podyktowane odwetem za zbrodnie popełniane przez Niemców na Wschodzie. Na tym ~~tle~~ Polacy wykazywali się ludzkimi odruchami, a bardzo często nawet życzliwością, gdyż sami byli wcześniejszymi niż Niemcy przesiedleńcami. Wspomnienie Bogusławy Dębickiej o swoim ojcu Adamie to jeszcze jedna ludzka tragedia. Człowiek urzędnik - zostaje zabity przez swoich - tylko dlatego, że wykazuje prawosć charakteru i ludzką uczciwość. Bogusława Dębicka wspomina też aresztowania w Osieku, Mieczkowie i innych sąsiednich wioskach, spowodowane przynależnością po organizacji „Rzecz Polska Walczących”. Konsekwencją rozpracowania tej organizacji

były podobno wyroki śmierci i wieloletnie więzienia. Bardzo interesują mnie te wydarzenia i losy aresztowanych ludzi oraz nazwiska tych, którzy otrzymali najwyższe wymiary kary. Dziś trudno uwierzyć, że nawet po wojnie w imię Ludowej Ojczyzny ludzi mordowano i katowano za donosy, pomówienia, za patriotyzm.

Korespondencja z Chicago od pani Józefy Miśkiewicz koreluje z wspomnieniami Pani Dębickiej i umieszczona jest zaraz po jej wspomnieniach. To dalszy ciąg dziejów Mieczkowa i rodziny Burdzych. Artykuł o pochodzeniu Łukowian ma za zadanie ukazania miejsc i terenów z których wywodzą się nasze Łukowieckie rody. Historia uratowanych przez państwo Kuchtów Żydów widziana od strony dokumentów przyznających tej rodzinie medal „Sprawiedliwy wśród narodów świata” jest wspaniałym przykładem wysiłku całej polskiej rodziny skierowanego na ratowanie bliźnich. Dokumenty nie wymagają komentarza - przedstawiają rozmiar poświęcenia. Praktycznie opowiadają, uczą i ukazują tryb postępowania przy nadaniu tego medalu. Przedrukuję także trzy otrzymane listy, gdyż informują one o rozlokowaniu się Łukowian po wojnie. Bardzo dziękuje za otrzymany list od pani Marii Supernat i odbitkę pocztówki z Kochawiny.

czwarty numer zeszytów zawiera:

1. Wspomnienia księdza Romana Dacy
2. Wspomnienia Bogusławy Dębickiej
3. List z Niemiec
4. Korespondencja z USA
5. Pochodzenie Łukowian
6. Yad Vashem dla rodziny Kuchto w
7. Listy i zdjęcia
8. Rozmowy, wyjaśnienia ciekawostki...

List Księdza Romana Dacy

Kraków dnia 20.VIII. 1987 r.
Najmilsza mojemu sercu, Droga Weroniko!

Jakże ja się cieszę, że pamiętasz o mnie! Bardzo serdecznie dziękuję za to! Dziękuję za życzenia jubileuszowe i dar dołączony do tych życzeń. Pamiętam zawsze o Was nie tylko żywych ale i o naszych zmarłych, szczególnie o Twoim mężu śp. niezapomnianym, ofiarnym, dobrym, Adamie! Poślam moje wspomnienia w których o nim pisze. Wspominam też o Władysławie Kuczale o Franciszku Pietrakiewiczu i innych życzliwych i oddanych mi ludziach z nowosieleckiej parafii. W tym roku 1987 minęło 50 lat jak przyszedłem do Was do Nowosielec i jestem tam do dziś sercem pamięcią, zawsze, ciągle i nigdy nie mogę stamtąd odejść i zapomnieć. Szukam Was sercem i wspomnieniami po całym świecie! Stary już jestem, niedługo trzeba mi się żegnać ze światem, ale nim odejdę chcę zapewnić, że było mi z Wami dobrze i czułem się wśród Was szczęśliwy Bóg zapłać za to! Ciebie kochana Weroniko i wszystkich moich byłych parafian ścisłkam, tulę do serca, całuję oraz polecam Bogu i świętemu Józefowi patronowi Nowosielec.

Ksiądz Roman Daca

Moje wspomnienia z lat wojny 1939-1943 z Nowosielec przesyłam Weronice Burdzy na pamiątkę.

Wspomnienia z lat wojny.

Autor: Ksiądz Roman Daca

Na hasło trzynastej ogólnopolskiej pielgrzymki na Jasną Górę żołnierzy Polski Walczącej w dniu 8 września 1985 r. W święto Matki Bożej Siewnej złożenie hołdu matkom kobietom okresu wojennego, które cierpiały broniąc przed nieprzyjacielem swoje „walczące dzieci” odpowiadam: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” / Jan 15, 13/. Całe moje życie naznaczone jest niepojętą łaską i Bo-

żym miłosierdziem. Chciałbym dziś w przeszło 52 rocznicę moich święceń kapłańskich z tych wspomnień wyjąć z moich 80 lat trzy lata życia. W których ukazało się całe bogactwo Bożego miłosierdzia nade mną: - Są to lata ostatniej wojny 1939-1943 - aby w ten sposób podziękować Bogu za dar kapłaństwa i za otrzymane łaski w ciągu lat służby kapłańskiej w trudnych i szczególnych czasach, w jakich przyszło mi żyć i pracować. Zacznę od relacji Stanisława Zalewskiego, Zamieszkałego w Anglii w: / Komunikaty Towarzystwa im. Romana Dmochowskiego pod red. Andrzeja Giertycha, tom II. cz. I. Londyn 1979/80 str. 325: Nie byłem świadkiem poniżej opisanych wydarzeń ale wiem o nich od osób bezpośrednio zainteresowanych: Proboszcz parafii rzymsko-katolickiej w Nowosielcach niedaleko Chodorowa ks. Roman Daca, w którego plebani spędziłem jesienią 1941 roku około dwóch tygodni, został pewnej nocy 1943 roku napadnięty przez bandę Ukraińców, którzy wdarli się przemocą do budynku, żądając widzenia się z proboszczem. Matka księdza Dacy w ostatnim momencie wepchnęła go do piwnicy, a na pastnikom oświadczyła, że go nie ma. Ponieważ mimo poszukiwań proboszcza nie odnaleziono, zamordowana została jego matka oraz gospodyni plebani. Sam proboszcz ocalał. Pisałem z pamięci. /Relacja z dnia 8 sierpnia 1965 roku / Wydarzenie o którym wspomina p. Stanisław Zalewski miało miejsce na plebani rzymsko-katolickiej obrządku łacińskiego w Nowosielcach-Żurawnie niedaleko Chodorowa powiat Bobrka województwo łwowskie. W nocy z 28 na 29 września 1943 r. Plebania, dawny, stary XIX - wieczny dwór, gdzie mieszkalem jako tamtejszy proboszcz, nagle, choć się tego spodziewałem, została otoczona przez grasujący w okolicy silny oddział „banderowców”, nacjonalistów ukraińskich, którzy mieli wykonać na mnie wyrok śmierci wydany przez U.P.A. Matka moja, Helena Dacowa, z którą mieszkalem na plebani, wiedziała o grożącym mi niebezpieczeństwie. Była bowiem o wszy-

stkim dokładnie przeze mnie informowana. Więc była zawsze czujna i uważająca na wszystko co się wokół działo. Dlatego doskonale orientowała się w wytworzonej sytuacji i zdawała sobie sprawę z mego śmiertelnego zagrożenia w jakim się w tej chwili znalazłem. Natychmiast więc, zanim napastnicy wdarli się do oblężonej ze wszystkich stron plebani, dała mi znać o napadzie i grożącym niebezpieczeństwie. Ale w tym samym niemal momencie, kiedy jeszcze nie skończyła mówić co zaszło, usłyszałem bezpośrednio, już wewnątrz plebani, gwałtownie i bardzo silne walenie kolbami karabinów w drzwi mego pokoju. W błyskawicznym wprost refleksie ratowania mi życia, z nieprawdopodobną siłą, której się u niej nigdy nie spodziewałem, bo zawsze była wątła, słabą, schorowana, a przy tym cierpiącą od lat na gwałtowne ataki ciężkiej astmy, - z niesłychaną wprost gwałtownością wepchnęła mnie do schronu-piwnicy, który był tuż obok, w moim pokoju. Wejście do tej kryjówki-schronu było tak niepozorne i niezauważalne, że po zapadnięciu pokrywy wieka, zlewało się wprost idealnie z całością podłogi do tego stopnia, że nikt nie wtajemniczony, nie mógł nawet przypuścić i podejrzewać, że w tym pokoju pod podłogą jest schron. Co przeżyłem w tym schronie-grobie, mówię grobie, bo takiej był niemal wielkości, może trochę płytszy, to jedynie jeden Bóg wie! Wszystko co się teraz działo na zewnątrz, nade mną, działo się na moim mózgu i sercu! Pod ciężarem kilkunastu stóp ludzkich, wieko schronu coraz bardziej szczelniej zaciskało się nad tą moją kryjówką- grobem! - Nie mogłem się ruszyć, leżąc w śmierdzącej mazi pleśni, grzybni i wilgoci ściekającej ze starych, grubych murów plebani, która do tego wszystkiego, od początku wojny 1939 r. Była systematycznie dewastowana i niszczone przez miejscowe władze gminne, którym za czasów okupacji służyła za „Silradę”, a mnie wyznaczono zaledwie jeden pokój i kuchnię. Całe więc zaplecze gospodarcze probostwa koncentrowało się

teraz, po tym złośliwym „wysiedleniu” - w stajni, razem ze służbą, a raczej z moimi domownikami, których w czasie wojny miałem wielu. Byli wśród nich nie tylko Polacy, ale i Ukraińcy, a nawet Żydzi. Byli to ludzie, których nikt nie chciał. Bano się ich przyjąć pod dach, biednych, opuszczonych, starych, tropionych, głodnych i kalekich.

- Stajnia, o której wspominam, był to budynek nowoczesny, przestronny, pełen zakamarków, wybudowany tuż przed samą wojną w 1939 r., bardzo duży i obszerny, tak, że można było w nim pomieścić całe, nie duże gospodarstwo, a od biedy i służbę. - Ale wracam do momentu, kiedy żywcem dosłownie — zostałem pogrzebany w rzekomym bunkrze-piwnicy, która została zrobiona jeszcze w 1937 r. Przez mego poprzednika ks. Tadeusza Klecana po to aby odgrzybić, osuszyć z wilgoci i pleśni stare mury plebani, tylko co jakiś czas trzeba było ten zbiornik oczyścić z nagromadzonej w nim cuchnącej, oślizgłej mazi grzybni i pleśni. Na miejscu gdzie leżałem, prawie że nagi, bo przez to nagłe zaskoczenie przez bandę i błyskawiczne działanie Mamy, której niemal że z dziecięcą ufnością bezwolnie uległem, nie zdążyłem nawet ubrać bielizny, którą akurat w tym momencie chciałem zmienić, - deski podłogi nade mną były oparte na jednym filarze, poza tym, próżnia, - miałem więc wrażenie, że zamiast podłogi z desek, jest rozciągnięta nade mną skóra jak na bębnie, co działało jak najczulsza membrana. Dlatego każdy krok, każdy stuk, głos, słowo, każde wprost drgnienie dudniło, huczało i drgało wielokrotnie, ogłuszając i rozrywając mózg i serce! Chciałem za wszelką cenę wyjść i wydostać się z tego dudniącego bębna, z tej kryjówki-pułapki. Usiłowałem nawet to zrobić, ale zabrakło mi sił, zdawało mi się, że przebudziłem się w letargu, byłem pełen bolesnego lęku już nie o siebie, ale o Mamę. Dochodził mnie jej spokojny, stanowczy, zdecydowany głos, że nie wie gdzie jestem i co się mogło ze mną stać.

Nagle wśród tego piekła, wrzawy, nawo-

ływań, pytań, złości, gniewu i przekleństw usłyszałem strzały, które przeszły mnie ogromnym niepokojem i lękiem o życie Mamy, że może w tym złowrogim piekle zginąć i to przeze mnie! W tej grobowej bezsile mojej i sparaliżowaniu i wprost straszliwych wyrzutów sumienia, poczucia winy, że wszystko to przeze mnie, miałem na tyle jeszcze świadomości co należy mi, kapłanowi, w takiej chwili zagrożenia in articulo mortis zrobić, - przesłałem w jej kierunku rozgrzeszenie. Nastąpił ogromny wstrząs całą plebanią i gwałtowny wybuch, a raczej tępy huk, - zdawało mi się że cały plebania razem ze mną została wysadzona w powietrze. Co się dalej działo nie wiem - straciłem świadomość. Oprzytomniałem dopiero nad ranem, czując regularne, powolne jakby miarowe bicie mnie po głowie i w tej grobowej ciszy i ciemności słyszałem jakby dzwonienie, więc wpół przytomny zacząłem nasłuchiwać. Okazało się że to moje własne serce tak mocno bije, a w uszach moich tak przeraźliwie dzwoni straszliwa cisza..., a ten gwałtowny wstrząs i huk, o którym wspomniałem był spowodowany, jak się potem dowiedziałem, przez strącenie z kredensu dość dużej butli z wiśniami, która spadając niemal na moją głowę, wywołała tak silny wstrząs. Zrobiono to z mściwości i gniewu, nie mogli bowiem napastnicy pojąć co się mogło ze mną stać, przecież dobrze wiedzieli, że gdzieś tu jestem, tymczasem w niezrozumiały dla nich sposób wymknąłem się im z rąk. Dlatego z gwałtowną runą zemsty, bezsilnego gniewu złości i nienawiści zaczęto wszystko bezmyślnie, niszczyć, rąbać, rozbijać, grabić, pruć pościele, poduszki, pierzyny nawet materace szukając rzekomo ukrytej w nich niedoszłej ofiary ich krwawych zbójceckich rąk. Niszczono dosłownie wszystko z niesłychaną pasją, rozbijano obrazy i fotografie na których wydłubywano szczególnie księżom oczy. Mam nawet taką jedną księdza kanonika Edwarda Tabaczkowskiego przeszytą w tym napadzie nienawiści do polskiego księdza"... I tak zostałem ocalony od straszliwej, okrutnej śmierci

najwyższą ofiarą męczeńskiej śmierci mojej śp. Mamy, która z całą świadomością poświęciła się za mnie! Podobnie w tym samym miejscu i czasie tej samej nocy Aniela Strażewska, moja gospodyni poświęciła swoje życie całkiem dobrowolnie i z całą świadomością za mnie, dając się zabić, aby mnie ocalić od śmierci. Inni moi domownicy, których w tym czasie miałem wielu, jak wspomniałem wśród których był Fedzio Kostyszyn, Ukrainiec, zostali nieludzko zbici i wprost skatowani do krwi i utraty przytomności za to jedynie, że nie zdradzili gdzie jestem i nie wydali mnie w ich drapieżne, mściwe i pełne nienawiści ręce. Fedio Kostyszyn, o którym wspominam z wdzięcznością i z głęboką czcią dla jego człowieczeństwa, kaleka utykający na nogę, człowiek prosty, zamknięty w sobie, milczący „wojujący” ze wszystkimi na plebani, nastawiony niechętnie do wszystkich, mrukliwy, ale w gruncie rzeczy dobry człowiek. Niejednokrotnie kiedy wpadał w gniew bano się go, a mnie przestrzegano, że w razie czego on pierwszy mnie „zarąbie siekierą”, z którą się nie rozstawał. I rzeczywiście on pierwszy skoro świt 29 września 1943 r. Na św. Michała, kiedy zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło i wszystko się uspokoiło, on Fedio Kostyszyn, Ukrainiec ze swoją nierozłączną siekierą, ale nie aby mnie zabić lecz aby mnie odnaleźć i ratować, zbity z opuchniętą pełną zboląłych sińców twarzą, podbitymi oczyma, utykając jeszcze bardziej, tak bardzo zmaltretowany wybrał się na poszukiwanie "jegomości - swojego ksiondza"... W opuszczonej plebani, pełnej gruzu ogromnego zniszczenia i ograbienia, gdzie leżały sprofanowane i zbezczeszczone w nieludzki, barbarzyński sposób zwłoki pomordowanych, w której było jeszcze tyle bólu i cierpienia . Wszyscy moi domownicy rozpierzchli się, został tylko on Fedio Kostyszyn, parobek, aby mnie odnaleźć, odgrzebać spod tych gruzów i rumowisk ratować za cenę swojej śmierci, która by go tym razem na pewno nie ominęła, mimo jego ukraińskiej naro-

dowości. Dobry i wierny odważny do bohaterstwa Fedio Kostyszyn, z którym miałem ciągle tryle kłopotu , zgryzoty, zmartwienia, skarg i nalegań abym go odprawił ze służby, a mnie było ciągle jakoś go żal ... bo gdzie pójdzie. Po tej tragicznej nocy rano ledwie zaświtało, stanął nade mną Fedio ze swą nieodłączną siekierą, której ostrzem szukał wśród tego straszliwego zniszczenia i rumowiska wejścia do schronu, aby je nią podważyć i otworzyć. Leżałem wtedy pół żywy prawie skostniały z zimna, cały w mazi oślizgłej cuchnącej grzybnią i pleśnią. - Powiedział po rusku z podniesioną nad moją głową siekierą: „Jegomość ja was nie wydał, ale uciekajcie bo oni mówili, że jeszcze tu po was przyjdą"! Zapytałem

- a gdzie moja Mama.

- „Jejmość zabyły, Stażewską takż."

Pomógł mi wydostać się z tego ponurego podziemia i ciągle naglił aby uciekać. Ale zanim uciekłem" szukałem jak oszalały po całej, jakże przez jedna noc nieprawdopodobnie zniszczonej plebani swojej Mamy. W końcu znalazłem nieludzko wprost po barbarzyńsku sprofanowane jej zwłoki i śp. Anieli Stażewskiej., wiernej i oddanej do śmierci gospodyni. Szczególnie były zbezczeszczone zwłoki mojej śp. Mamy. Dowiedziałem się potem, że ją bito, widziałem wybite zęby, a całe ciało zasypano gruzami. Szklęm potłuczonych słoików, szklanek, talerzy mąką, piórami z poprutej pościeli, a w końcu to wszystko zalano konfiturami, sokami, nalewkami i innymi przetworami z owoców, które Mama przygotowała na zimę... Co wszystko razem wytworzyło lepką, bezkształtną różnobarwną masę, której nie można się było tknąć, tyle w niej było sterczącego ostrego szkła. Kiedy tak grzebałem w tej makabrycznej mazi, aby z niej odgrzebać i wydobyć zwłoki śp. Mamy. Wierny nieustraszony Fedzio ciągle z podniesioną siekierą stał nad moją pochyloną głową i ciągle przynaglał do ucieczki. Nagle w tej ponurej ciszy i półmroku wstającego dnia usłyszałem przez wybite okna plebani skrzyp żurawia

studziennego i znany głos. To Michał Szynalski najbliższy sąsiad, cichy, wystraszony, poił bydło.. - To mnie ocknęło i opamiętało. . Ucałowałem ranę na skroniach śp. Mamy. Pamiętam rana ta była nie duża., z której zdawało mi się sączy stróżka jeszcze nie zakrzepłej krwi.. Nad zwłokami śp. Anieli Stróżewskiej, nakreśliłem krzyż i uciekłem.... Ale tak naprawdę nie uciekłem z tej plebani w Nowosielcach nigdy. Jestem tam ciągle. Jest już 42 lata po tym jak stamtąd uciekłem, a ja tam zawsze wracam dzień i noc, bo uciec z tego miejsca nie potrafię. Ucieczka" ta była bardzo jawna. Uciekałem przez podwórza sąsiadów, którzy, jak mogłem się domyślać z ich postawy i zachowania, wiedzieli co zaszło tej nocy na polskiej plebani, że „polskiego księdza banderowcy zamordowali", ...teraz nagle widząc go, niby upiora nagiego, ociekającego błotem i krwią, uciekającego przez ścierniska, orne pola, łąki, przeskakującego różne przeszkody z płotów i zagrożeń, czasem z drutów kolczastych, wychodzili nie całkiem jeszcze nawet ubrani, pełni strachu i przerażenia żegnali się, a poznawszy, bojaźliwie, ale życzliwie, ze smutkiem, lekkim ruchem rąk pozdrawiali.

I tak dobiegłem do Adama Burdzego, który mieszkał na kolonii w kierunku stacji kolejowej Nowosielce - Żurawno. Wszyscy jeszcze spali, tylko jego żona Weronka, krzątała się po obejściu koło gospodarstwa, a zobaczywszy mnie krzyknęła : „Jezus , Maria ! Na pewno napadli księdza Ukraińcu"!... i w tej chwili ukryła mnie na strychu, a sama poszła, zbudziła męża i za chwilę przyszli oboje przynosząc mi bieliznę, ubranie. Adam Burdzy zrobił w sianie głęboką, wygodną kryjówkę, żonie nakazał milczenie aby się dzieci i reszta domowników o tym co się stało nie dowiedzieli... Tymczasem we wsi i w okolicy robił się wielki ruch. Słyszałem jak w kościele w Nowosielcach dzwoniono na Anioł Pański, a potem odezwała się sygnaturka. Miała być Msza Święta.,

święto św. Michała. Widziałem przez nieszczelny, przeświecający dach, ludzi idących do kościoła, między innymi starą, pocziwą pobożną Karolinę Martowiczową i wielu innych moich zacnych, dobrych parafian. Chciałem do nich pójść, pokazać się że jestem, że żyję, że miłosierdzie Boże jest potężniejsze niż grzech i złość ludzka, że ludzie są jednak mimo wszystko dobrzy, że miłość potrafi się poświęcać i dać życie za drugiego człowieka... ale rozum i roztropność nakazywały zostać, tym bardziej, że czułem się coraz gorzej i opuszczały mnie coraz bardziej siły. Adam Burdzy chciał więc jak najprędzej przeprowadzić mnie w miejsce bardziej bezpieczne i wpadł na pomysł, aby zrobić ze mnie po prostu zwykłe siedzenie, owinać snopkiem słomy, związać powrółem, przykryć derką końską, położyć je na wozie, a potem usiąść sobie na tym siedzeniu i tak przewieźć mnie przez posterunki banderowców patrolujących całą okolicę, a szczególnie stację kolejową Nowosielce - Żurawno... i udało się to! - Choć później opowiadano, że kręcące się patrole ukraińskie dobrze obserwowały manewr Burdzego i podstęp jego przejrzały, ale nie miały widocznie, tak należy przypuszczać, odwagi napadać i mordować jawnie w biały dzień, tym bardziej, że w południe tego dnia pojawiły się w okolicy wzmocnione, silne oddziały żandarmerii niemieckiej. Szczęśliwie więc, odważny i zawsze pełen pomysłów i dowcipów oddany mi Adam Burdzy, przemycił mnie jakby tranzytem przez te niebezpieczne drogi do Łukowca Wiszniowskiego, powiat Rohatyn, wojew. Stanisławowkie, wsi dużej, rozległej, czysto polskiej, leżącej za torem kolejowym w kierunku Żurawna nad Dniestrem. ... Tu było spokojnie, cicho i bezpiecznie, Cała wieś była zmobilizowana i pod bronią, w szeregach Armii Krajowej, pod sprawnym dowództwem Edwarda Polaka., a niezrównany w każdej potrzebie ks. Józef Wanatowicz, proboszcz tamtejszy, był duchem krzepiającym nie tylko miejscową ludność, ale tych wszystkich, którzy na terenie jego parafii szukali schronienia i opieki. ... Adam Burdzy, tamtejszy rodak,

dzielny żołnierz AK, zawiózł mnie w głąb lasów, do swoich pewnych ludzi, którym oddał mnie w opiekę, sam wrócił do Nowosielec, do domu. W Łukowcu mimo opieki i troski o moje zdrowie, ciężko się rozchorowałem. Odezwały się kamienie nerkowe, a przede wszystkim przyszło niebezpieczne zakażenie krwi u obu nóg, co groziło gangreną. Obie stopy spuchły, stwardniały, wysoka temperatura, w końcu obie nogi zaczęły sinieć, a lekarza nie było. Zaczęło więc poważnie obawiać się o moje życie i radzić jak je ratować. Najpierw poprosiłem aby przyszedł do mnie ksiądz. Potem zeszły się kobiety i jedna z nich poradziła aby obie nogi kapać w bardzo gorącym wywarze z ziół. Zaczęto więc stosować taką kurację. Spuchlizna nóg powoli ustępowała, zsinienie też, a z obu stóp wyszły odłamki szkła, zardzewiałe gwoździe i druty, nawet żdźbła żętych zbóż. ... I tak zostałem uratowany z nowego nieszczęścia i niebezpieczeństwa, wprost od śmierci. Po wyzdrowieniu, kiedy mogłem chodzić i poruszać się sprawnie, z paru żołnierzami AK, pod dowództwem Józefa Pasternaka, zarządcy folwarku Ligenschaft w Moładyńcu, wsi leżącej na terenie mojej parafii, zostałem okrężnymi drogami i lasami przywieziony na stację kolejową Bortniki, a stamtąd do Lwowa. Tak się skończyło moje duszpasterstwo w Nowosielcach, gdzie przeżyłem niejedną niebezpieczną, ciężką i dramatyczną, pełną napięcia grozy chwilę, ale całe noce i dni paru lat wojny. Napad, o którym wspomniałem, nie był pierwszy ale ostatni. Powtarzały się one dość często. Plebania w Nowosielcach była przysłowiową „Solą w oku” nacjonalistów ukraińskich i band banderowskich dlatego często na nią napadano, płądrowano grabiono i rabowano. Nie chodziło im o plebanię ale o zlikwidowanie „polskiego księdza”, który zawsze wprost cudem wymykał się z ich rąk pełnych grozy i nienawiści, złowrogiego krwawego, a zarazem bezsilnego gniewu, przed którym Bóg mnie wybawił w wielkim miłosierdziu swoim. Kilka razy uczynił to przez ręce mojej Mamy, która tak jak mój anioł stróż czujna, uważająca, zawsze z macierzyńską troską i opieką ostrzegała mnie w samą porę przed

grożącym niebezpieczeństwem. Czynił też te cuda. Swojej opieki i miłosierdzia nade mną przez ręce innych dobrych życzliwych szlachetnych ludzi, którzy byli dla mnie w tym czasie i zawsze ziemską opatrnością. ... W pierwszych dniach wojny po 17-tym września 1939 r., kiedy to rozpętał się z wielką, wprost z niesłychaną, opętańczą siłą ślepa nienawiść do Polaków i wszystkiego co polskie, ukraiński nacjonalizm, dr. Stefan Semiginowski, Ukrainiec, lekarz z Chodorowa, w tym impecie nienawiści kiedy zostałem śmiertelnie zagrożony, śpieszy mi z pomocą i ratuje mi życie z narażeniem swego. Później w 1940 roku będzie też z ofiarną najczulszą opieką i troską ratował od śmierci moją ciężko śmiertelnie chorą mamę, a przez uratowanie i zachowanie jej przy życiu po trzech latach w 1943 r. Pośrednio przez nią, uratuje mi moje życie.... Ile razy wspominam to wydarzenie i myślę o krwi przelanej przez moją Mamę za mnie aby mnie ocalić od śmierci, to ciągle mi się ta krew przedziwnie i z dużą siłą i wyrazistością kojarzy z wydarzenie które miało miejsce 1940, kiedy to Mama moja ciężko zachorowała na obustronne zapalenie płuc. Miesiąc przed św. Józefem patronem parafii w Nowosielcach odwiozłem ją w stanie bardzo ciężkim do szpitala w Chodorowie. Szpital mieścił się w pałacu księcia Eugeniusz Lubomirskiego, którego wywieziono na Sybir. Dyrektorem tego szpitala był właśnie dr Semiginowski, którego opiece lekarskiej oddałem moją Mamę. Leczenie szło opornie, bardzo powoli, bez żadnej widocznej poprawy, aż 19 marca, w dzień odpustu w mojej parafii, dostaję nagłą wiadomość abym natychmiast przyjechał, bo Mama jest umierająca. Więc zostawiam wszystko, wszystkich gości i wiernych, jak zwykle przy odpuscie licznych, i jadę. Zima jeszcze trzyma, śniegi, roztopy, drogi zalane, znaczą je tylko przydrożnie wierchołki wierzb, konie po brzuchu w śniegu i wodzie, sanie też pełne wody. W końcu dobrnąłem do Mamy, była w agonii. Wracał od niej ks. Bronisław Gałoński, który był u niej z Panem Bogiem. Dr

Semiginowski czekając na mnie powiedział że jest źle, nawet beznadziejnie. Chciałby jednak chorą ratować jeszcze przez transfuzję krwi, dlatego mnie wezwał, ale muszę ja na to wyrazić zgodę. „Ależ naturalnie” - wykrzyknąłem! - „Chodzi o krew księdza. Ksiądz na pewno ma tę samą grupę krwi co mama, ale jak ją przetoczyć w tych, jak ksiądz widzi, prymitywnych polowych warunkach, gdzie nie ma dosłownie nic, a to zabieg precyzyjny, a nawet w podobnych warunkach ryzykowny i niebezpieczny. Czy się ksiądz zgadza”? -Tak! - „Więc proszę położyć się tuż przy mamie po jej lewej stronie”. ... Niedługo po tej transfuzji - nie wiem jak ją przeprowadzono i jak długo trwała - mama otworzyła oczy, a mnie w oczach pociemniało. ... I tak, moja krew uratowała życie mojej Mamie, podobnie jak po trzech latach później, jej krew uratowała moje życie! Jak przedziwne są Panie, Twoje zrzádenia Opatrzności! Okazałeś mi swoje miłosierdzie w młodości mojej, nie opuszczaj mnie, Boże, w starości i wieku sędziwym! Wydarzenia, o których wspominam, były bolesne, ciężkie, mocne, dramatyczne i pełne tragizmu. Pamiętam, kiedy po tym pierwszym ocaleniu we wrześniu 1939 roku przez dr Semiginowskiego wróciłem na plebanię w Nowosielcach, miałem wrażenie, że znalazłem się na pobojożyisku z tym tylko, że nie było zabitych i rannych, jak to się stało po trzech latach w 1943r. Po ostatnim napadzie, po którym pozostały i trupy i ciężko skatowani ranni ludzie! Ten pierwszy napad, dokonany z taką siłą i ślełą nienawiścią, z takim impetem gniewu i rozpętańa wszystkich złych ludzkich namiętności, pozostawił po sobie głęboki uraz, lęk przed drugim człowiekiem i pozbawił zaufania człowieka do człowieka tak, że mój furman-parobek Fedio Kostyszyn już nie rozstawał się z siekierą! Bóg, w swej niepojętej wszechmocy i miłosierdziu, tak po ludzku niezrozumiałym i wprost nie do wiary, - ocalił mnie także rękami szlachetnego człowieka jakim był Berezowski, ruski cerkiewny diak, katolik

obrazu greckiego w Nowosielcach, który, kiedy, groziło mi niebezpieczeństwo śmierci, ukrył mnie w letnią noc 1942r. w swoim łóżku, między piramidą poduszek, jaśków i pierzyn, w izbie odświętnej, której ściany obwieszane były obrazami świętych, a sam przesiedział całą noc z siekierą w rękach, jak widziałem na progu własnego domu, aby w razie czego bronić mnie nawet przed własnymi córkami, jak mi potem w zaufaniu powiedział, zapalonymi szowinistkami i nacjonalistkami ukraińskimi, należącymi do miejscowej komórki UPA, które tej nocy były w bojowej akcji - właśnie na „polskiej plebani” w Nowosielcach zostałem też podobnie ocalony, może jeszcze bardziej przedziwnie, bo wszystko działo się ogromnie spektakularnie mimo nocy, publicznie, jawnie i głośno, na oczach całej obudzonej ze snu wsi Wierzbica. Pamiętam, było to w roku 1942 w zimie. W nocy, kiedy przejeżdżałem przez tę wieś, czysto ruską, zostałem nagle zatrzymany i otoczony przez dość duży, dobrze uzbrojony oddział miejscowych, jak się okazało, Ukraińców. Widocznie tamtejsza UPA miała swoje ćwiczenia. Zaraz można było poznać, że nie była to zwyczajna banda, ale regularny, zdyscyplinowany oddział wojskowy. Oczywiście, zaraz mnie rozpoznano, bo Wierzbica leżała tuż niedaleko Nowosielec. Traktowano mnie dość możliwie. Jednak po przeprowadzeniu dokładnej rewizji, kiedy znaleziono na moim wózku worek zboża, który dostałem od p. Antoniego Warty, zarządcy folwarku Ligsenschaftu w Suchrawie, wsi należącej do mojej parafii, pod pozorem działalności na szkodę państwa niemieckiego za przewożenie zboża, czego nie wolno było robić pod karą śmierci, z miejsca skazano mnie na śmierć przez rozstrzelanie. Aby nadać temu rozbojowi i zbrodni pozory legalności, że robią to „w imieniu prawa”, przystąpiono do wykonania tej egzekucji z wielką, jak im się zdawało, „fachowością i znajomością, a nawet paradą”. Kazano mizdrząc sutannę, postawiono pod dużym, grubym, rozłożystym drzewem, odmierzono

no od miejsca odpowiednią ilość kroków i postawiono „rotę strzelców” gotowych do wykonania wyroku. - Aż tu nagle, między mnie skazańca, a „strilców” wpadli tłumnie ludzie, dużo kobiet i dzieci, chyba z całej wsi. Zrobił się wielki tumult, zgiełk, krzyk, płacz dzieci, wywołanie po imieniu z szeregu swoich mężów, synów i wszystkich „strilciw” którzy tam byli. W tym tłoku, ciżbie, zamieszaniu, przepychaniu się między sobą, mną, a „strilcami” wołano z krzykiem, płaczem, w zdenerwowaniu i podnieceniu, w którym padały nawet słowa, które w mowie ruskiej mają mocny dosadny akcent, aby nie robiono mi krzywdy, aby nie strzelano „jak psa”, ale puszczone wolno, bo to „polski jegomość z Nowosielec”, który uzdrawiał chore dzieci, przynoszone do niego, aby się nad nimi modlił, brały te dzieci na ręce, podnosiły wysoko w górę, pokazując je w świetle księżyca, oniemiałym i w bezruchu osłupiałym chłopom!... Wyrok śmierci odwołano. Egzekucji nie było. Mnie kazano wracać do domu. Dla mego „osobistego bezpieczeństwa” „rota strzelców”, która miała mnie rozstrzelać, eskortowała mnie niemal pod samą plebanie w Nowosielcach. Żegnając, powiedziano mi, że miałem szczęście i abym był ostrożniejszy na przyszłość i więcej nie pokazywał się w ich stronach,” bo nie zawsze w seredu Petra”. Rzeczywiście, w parafii Nowosielce był taki zwyczaj, którego przestrzegałem, że matki, bez względu na narodowość i obrządek, przynosiły nawet z dalekich stron swoje chore dzieci do „polskiego księdza w Nowosielcach” i prosiły o modlitwy i poświęcenie wody nad głowami chorych dzieci., a że prosiły zawsze z głęboką, żywą i gorącą wiarą, dzieci wracały do zdrowia, a wieść o tych „cudownych uzdrowieniach” rozchodziła się po całej okolicy. Takich wypadków uzdrowienia było dużo, nawet bardzo dużo, szczególnie wśród dzieci z rodzin ruskich obrządku grecko - katolickiego. Tak było w Wierzbicy, gdzie właśnie z tego powodu byłem znany, ceniony, a nawet szanowany. Stąd więc wdzięczność tych

ludzi, szczególnie matek uzdrowionych dzieci, ocaliła mi życie i uratowała od śmierci.

„Bóg nie chce śmierci grzesznika” - więc jeszcze raz ratuje mnie od niechybnej śmierci rękami Żyda, którego nazwiska niestety, nie pamiętam. Przypominam sobie, że było to na przełomie lat 1939-1940 w Knihiniczach, po w. Rohatyn, woj. Stanisławowskie. Małeńkie, polsko-żydowskie miasteczko /na 695 Polaków było 637 Żydów/. W miasteczku tym zabawiłem parę godzin, do późnego popołudnia. Wszyscy mnie tu bacznie obserwowali i przyglądali się z dużą uwagą, jak to zwykle bywa, kiedy ludzie zobaczą w swojej miejscowości obcego człowieka. Ale mnie jednak tam na ogół znano, więc myślę sobie, dlaczego ci ludzie tak bacznie i pilnie przypatrują się mojej osobie. Wyglądało to już na śledzenie, co mnie trochę zaniepokoiło. Myślałem, co oni mogą chcieć ode mnie? Nagle staje przede mną znajomy, jeszcze z przed wojny, Żyd, który niedawno, parę dni temu był u mnie w Nowosielcach, gdzie z moją Mamą zrobił na pewno dobry interes, z którego obydwoje byli zadowoleni, i powiada: „To nie dobrze, że pan ksiądz tu sam, późna pora, bardzo niedobrze, to może być źle!” Dlaczego? - pytam. „Po co to panu księdzu wiedzieć, ja wiem, że źle”, i cicho pod nosem dokończył: „te paskudne ukraińce”, i siłą wprost, zaciągnął mnie do swego domu prosząc, abym nim nie gardził. ... Robiło się coraz ciemniej, zapadał wieczór, piątek, szabas! Cała dość liczna rodzina zasiada do stołu, świece, co mi przypominało nasz święty wieczór wigilijny, proszą mnie do stołu, siadam, ale wewnątrz jestem niespokojny, psują mi nastrój. ... Widzi to gospodarz domu, przysuwa się bliżej do mnie i szeptem mówi tak, aby inni nie słyszeli: „Niech się pan ksiądz nie boi, tu panu księdzu nic złego się nie stanie. Podśluchałem na mieście, że te parszywe chłopcy ukraińscy, komunisty, bolszewiki chcą pana księdza zabić, dlatego ja pana księdza zabrałem do siebie. Pan ksiądz dobry człowiek, jego pani ksiądzowa też, dali mi

przed wojną żyć i coś zawsze zahandlować. Dlatego ja pana księdza uratowałem. Dziękuję, że pan ksiądz nie pogardził moim domem. Ja za to pana księdza, jak wszyscy pójdą spać, sam odstawię do Nowosielec”. I „odsawiał”! ... Dopiero w drodze zorientowałem się, że ten Żyd, w nowo wytworzonej sytuacji jaka zaistniała na początku wojny, cieszył się w okolicy dużym autorytetem i miał wielkie poważanie nawet u tych „paskudnych i parszywych chłopów ukraińskich, komunistów i bolszewików”. Chciałem jeszcze w tym rejestrze cudów i opieki Bożego miłosierdzia nade mną grzesznikiem wspomnieć, że to jeszcze nie wszystko czego doświadczyłem od Bożego miłosierdzia. Wiele bowiem razy wprost cudem wychodziłem z licznych ukrytych zasadzek zastawianych na moje życie, z których byłem niejednokrotnie silnie ostrzeliwany, ale Pan Bóg, kule... przenosił ponad moją głowę. Czasami one trafiały w wózek na którym jechałem, z którego też często musiałem się przesiadać na inne środki lokomocji, aby zmylić „pogonię”... i z życiem wrócić do domu. Nie było to wszystko łatwe, tak jak nie łatwe było życie!. Ciągłe śmierć zaglądała mi w oczy, a Pan Bóg w miłosierdziu Swoim ciągle wyrывał mnie w przedziwny i zaskakujący sposób z rąk śmierci, abym trwał na tej ziemi i świadczył o niej że jest nasza, że jest Polska. To trwanie i świadczenie o Polsce na tej ziemi... męką, cierpieniem, krwią i śmiercią, zdziesiątkowaniem 10 lutego 1940 r. przez wywiezienie na Sybir 51 rodzin rdzennie polskich z Nowosieleckiej parafii, uważam za bohaterskie, frontowe pole nieustępliwej walki, która trwała bez wytchnienia, bez przerwy, dzień i noc, bez zawieszenia broni, gdzie twierdza był dosłownie - „każdy próg!”... Wśród tego bezkresnego morza nienawiści, doświadczyłem od ludzi wiele wspaniałej ofiarnej miłości, wiele życzliwości, wierności i całkowitego oddania, a nawet poświęcenia życia! W czasie kiedy ja się zmagalem z tyłu bolesnymi, dramatycznymi i tragicznymi

przeciwnościami, moi parafianie też z tymi wszystkimi przeżyciami walczyli dzielnie i po bohatersku, trwając niezmiennie w swojej ziemi ojczystej! Pewnej nocy w lecie 1943 roku banda „banderowców” napadła na dom Władysława Kuczały, który mieszkał w Nowosielcach kolonii „Jażwiny” z rodziną: żoną Marią z domu Martowicz i dwójką nieletnich maleńkich dzieci. Napadnięci potrafili się bronić odważnie w oblężonym domu od nocy do wczesnych godzin świtania., odpierając zawzięcie we dwójkę skutecznie i zwycięsko ataki kilkunastoosobowej bandy, co zasługuje na szczególną uwagę, bo świadczy o ich nie tylko odwadze ale i o przytomności umysłu, dzielności i bohaterstwie. W roku 1943, 3 maja parafia Nowosielce w nastroju pełnym bólu i przygnębienia, uroczystie grzebała swojego młodzieńckiego organistę ur.1923 r./ Franciszka Petrykiewicza, syna miejscowego kościelnego, którego zamordowano skrytobójczo w bestialski sposób jeszcze w grudniu 1942 r. w lasach młodynieckich niedaleko Nowosielec, niemal pod jego rodzinnym domem. Zmasakrowane jego zwłoki mimo bardzo usilnych poszukiwań znaleziono dopiero po kilku miesiącach pod zamulonym przez roztopy wiosenne, niedużym leśnym mostkiem.... Podczas tych żałobnych uroczystości pogrzebowych tego prawego i szlachetnego chłopca, którego zamordowano za nic, jedynie za to że był Polakiem. Jak wiemy był młodzieniec dobrym, cichym, spokojny, zapowiadającym się bardzo dobrze. Przyglądający się z za płotu tym uroczystościom Ukraińcy, którzy widząc nas pogrążonych w żałobie, w wyjątkowym bólu i smutku - wśród szyderczych docinków i drwin, kpiąc złośliwie mówili: „Ale jaki to Polaki mają paradny 3 maj”. Skąd się wzięło w tym bratnim narodzie tyle kainowej nienawiści? Przecież w przeszłości mieliśmy tyle pięknych i szlachetnych, dobrych obopólnych tradycji współżycia w których się wychowałem. Jeżeli dzisiaj wspominam w 52 rocznicę moich świeceń kapłańskich, a w 42

rocznicę śmierci mojej śp. Mamy i Anieli Starzewskiej, te pełne grozy, bólu i cierpienia i tragizmu przeżycia z czasów ostatniej okrutnej wojny to pragnę przez nie oddać przelanej ich krwi ofiarnej cześć, a Miłosierdziu Bożemu dziękczynienie, uwielbienie i chwałę! Wspominając miłosierdzie Boże, miłość, wierność i poświęcenie ludzi, nie mogę zapomnieć i nie wspomnieć Najświętszej Matki Miłosierdzia, bo jeśli nie zmarniałem to jedynie dlatego, że nie ustały litości jej nade mną grzesznikiem.

UZUPEŁNIENIE!

Jestem już stary i w podeszłym wieku. Wspomnienia moje sięgają daleko wstecz, w przeszłość kilkudziesięciu lat, mogą więc wydawać się nie całkiem wierne, bo pamięć starego człowieka nie zawsze jest świeża i pewna, często zawodzi. Dlatego aby tym wspomnieniom moim nadać świeżość i pewność, ośmielałem się przytoczyć opinie ludzi, którzy swoim autorytetem i powagą zajmowanego w tym czasie stanowiska, stwierdzą autentyczność i zgodność z rzeczywistością faktów i wydarzeń, które po blisko 40 latach dziś wspominam.

„Stwierdzam, że p.płk. ks. dr. Roman Dąca, syn Wojciecha i Heleny z domu Cichłowska ur. dnia 23 lutego 1905 r. w Kopyczyńcach woj. tarnopolskie, pseudonim „Longin” zamieszkały obecnie w Krakowie ul. Św. Marka 10, był w latach 1941-1944 doskonałym dowódcą rejonu partyzanckiego Nowosielce w skład, którego wchodziło kilkadziesiąt miejscowości polskich /powiat Rochatyń. Bobrka, Chodorów/, które na skutek dużego zagrożenia ze strony wroga, zorganizowane zostały w bazy partyzanckie i punkty oporu. Już od pierwszych dni walki z Niemcami, bardzo skutecznie przeciwdziałał on wrogiej propagandzie nacjonalistów ukraińskich nawołującej do mordowania Polaków. Zyskując sobie wśród miejscowej ludności wielki autorytet i to bez względu na narodowość. Był on wzorem spokoju i opanowania mimo że poruszanie się na tak rozległym terenie groziło zasadzką i

rozstrzelaniem.

W tak bardzo niebezpiecznych warunkach sprawdza możliwości organizacji samoobrony ludności polskiej i instruuje docierając nawet do poszczególnych rodzin. Mieszkał z rodziną w Nowosielcach, a dom jego był wzorem spokoju i opanowania. Stąd szła pomoc dla wszystkich bez względu na wyznanie i narodowość. Pomagał on także obywatelom polskim religii mojżeszowej i biedocie ukraińskiej, rozdzielając żywność w okresie klęski i głodu. Współpracował również z partyzantami radzieckimi i dostarczał żywność jeńcom radzieckim. Tę ludzką postawę doceniła również spokojna ludność ukraińska, ostrzegając go w miarę możliwości przed napadami UPA. Ks. Roman Daca był wielką przeszkodą w możliwości realizacji zamierzeń UPA, toteż otrzymał od nich wyrok śmierci./działał z pozycji stałego i znanego na tym terenie mieszkańca/. Mimo tego wyroku nie zaprzestał swojej działalności, gdyż bezpieczeństwo zagrożonej ludności polskiej stawiał wyżej niż własnej rodziny i swoje. W czasie napadu UPA na m. Nowosielce dnia 28 września 1943 r. zginęła jego matka śp. Helena Dacowa i śp. Aniela Starzewska. W tym też okresie został zamordowany śp. Franciszek Petrykiewicz. Tak wielka i bolesna strata nie załamała go jednak i w dalszym ciągu bronił zagrożonej ludności polskiej tego rejonu, która dzięki niemu ocalała. Za wzorowe dowodzenie w walkach z Niemcami i UPA na terenie rejonu partyzanckiego Nowosielce, organizowanie i przygotowanie do walki oddziałów partyzanckich i samoobrony, doskonałą orientację bojową, szlachetną prawdziwie ludzką postawę i taktykę działania z wykluczeniem jakiejkolwiek krzywdy nawet w stosunku do wroga, szczególnie pomysłową i bardzo ostrożną organizację samoobrony ludności polskiej w oparciu o osobiście skromny lecz bardzo skuteczny przykład wyjątkowej odwagi osobistej i nadzwyczajnego poświęcenia w ratowaniu zagrożonej ludności polskiej w walce z tak bezwzględny i okrutny

wrogiem został odznaczony krzyżem orderu Virtuti Militari V klasy.

Prof. UW Dr Władysław Herman
Płk. AK „Żuraw” były komendant
okręgu stanisławowskiego i dowódca
oddziałów partyzanckich Okręgu.

Niniejszym zaświadcza się, że ppłk. AK Dr Roman Daca „Longin” ur. 23 II. 1905 r. Był dowódcą rejonu partyzanckiego „Longin” / główna baza part. Nowosielce obwodu rohatyńskiego AK 48 p.part. Inspektoratu Stryjskiego AK - Karpackiej Dywizji Partyzanckiej.- rozkazem komendy okręgu stanisławowskiego AK do dowództwa Karpackiej Dywizji Partyzanckiej, - został odznaczony orderem Virtuti Militari V klasy. P.pulk. AK dr Roman Daca - wybitny organizator samoobrony ludności polskiej przed Niemcami i UPA przyczynił się do ocalenia Polaków z kilkudziesięciu miejscowości m.inn: Nowosielce, Podkamień, Fraga, Tucze, Hoderkowce, Żabokruki, Pietniczany, Sokołówka, Nowa Grobla, Strzeliska Stare z Henrykówką, Zagórze, Kniesioło, Oryszkowie, Rzędowice, Rejówka i wiele innych, które z biegiem czasu stały się silnymi bazami partyzanckimi i ośrodkami oporu. Wyszkolony artylerzysta /Szkola podch. Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim/ i 11 pał w Stanisławowie. Jako dowódca oddziałów partyzanckich bardzo skutecznie działał w obronie ludności polskiej i obywateli polskich pochodzenia żydowskiego./ w domu przechowywał rodzinę żydowską/. Był przykładem wybitnego męstwa i poświęcenia. Pomagał też jeńcom i partyzantom radzieckim. W czasie napadu UPA na m. Nowosielce zostały zamordowane dzielne i zasłużone Polki: Ob. Helena Daca matka p.płk. AK d-ra Dacy i Ob. Aniela Starzewska.

Płk Zdzisław Pacak - Kuźmirski b. Komendant Inspektoratu Stryjskiego AK b. Dowódca Karpackiej Brygady Partyzanckiej Dokumenty te zostały zweryfikowane

przez Główną Komisję Weryfikacji w Warszawie dnia 2. XII. 1970r., a Ministerstwo Obrony Narodowej - Departament Kadr przysłało mi Zaświadczenie Nr. IX-8202/ W Warszawa dnia 9. 01. 1971r. nadanego mi przez AK orderu Srebrnego krzyża Virtuti Militari V klasy. Z Koła byłych Żołnierzy Armii Krajowej w Londynie otrzymałem następującej treści zaświadczenie:

„Symbol Polski Walczącej na czarnym tle tarczy - Nagłówek tłustym drukiem: Koło byłych żołnierzy Armii Krajowej - Polish home army ex servicemen association -42, Emperson Gate- London S.W. 7 -L.dz. 4215/68 Our ref. - Londyn, 12 marca 1968 r. - Zaświadczenie weryfikacyjne _ Kapelan Ksiądz Dr Roman Daca Pseudonim „Longin”- Przydział: Obszar Lwowski Armii Krajowej.- W szeregach Armii Krajowej odznaczony został: Przez Komendanta Obszaru Lwowskiego na podstawie upoważnienia Dowódcy Armii Krajowej w dn. 3. V. 1944r. za męstwo i poświęcenie w służbie duszpasterskiej w warunkach bojowych: krzyżem Walecznych po raz pierwszy/ Legitymacja Krzyża Walecznych Nr. 33668. Londyn dnia 30 grudnia 1949r./ Przez Dowódcę Armii Krajowej w dn. 1.1. 1945r. za całokształt ofiarnej służby duszpasterskiej w szeregach Armii Krajowej: Złotym Krzyżem Zasługi z mieczami/ Legitymacja Złotego Krzyża Zasługi z Mieczami Nr. 33894. Londyn dnia 30 grudnia 1949r./ - Za zgodność podpis

/-/ P. Krackiewicz

Pieczęć okrągła z napisami: Zarząd Główny A.K. oraz symbol Polski Walczącej na tle tarczy".

Przesłano mi również Legitymację Medalu Wojska nadanego mi czterokrotnie Nr. 13061. Londyn dnia 16 marca 1968r. Podpisał: /:/ T. Pełczyński, gen. Bryg. Zastępca Dowódcy Armii Krajowej. /-/ Ks. dr. Roman Daca b. proboszcz parafii rzym. kat. obrz. łac. w Nowosielcach -Żurawno koło Chodorowa, pow. Bobrka, woj. lwowskie. Kraków, dnia 8 września 1985r.

Wspomnienia Bogusławy Dębickiej z okresu wojny i lat powojennych

Nowosielce-Zurawno województwo Lwów wieś niedaleko Łukowa, zamieszkała w części przez Polaków, równie licznie przez rodziny ukraińskie. Żyli w zgodzie do wybuchu wojny. Nastał mroźny (-28 stopni C) dzień 10 lutego 1940 r. kiedy to rankiem, niespodziewanie podjechały sanie do około 20 domostw aby zabrać ich mieszkańców. Zabierali mężczyzn, kobiety, a nawet małeńkie dzieci. Wywieźli ich na Sybir, aż do kraju altajskiego, a z nimi całą rodzinę Mamy na czele z Babcią Józefą Firlit. Nas cudem minął ten los.

Lata mijały, a napięcie we wsi rosło, napady band ukraińskich na Polaków były coraz częstsze. „ W nocy z 28 na 29 września 1943 r. ma miejsce straszna napaść na plebanię" (wspomnienia ks. Dacy) Po wyżej wymienionym napadzie życie Adama Burdzego czyli nasze staje się coraz bardziej niebezpieczne. Rodzice postanawiają, że będziemy spać na strychu, pod którego oknem ustawili stertę słomy, aby w razie napadu wyrzucić dzieci, wyskoczyć, złapać po dziecku,(było nas dwoje) i uciekać. Planowali głośno przy dzieciach. O świcie szli pracować w polu (było najbezpieczniej, banderowcy po nocnych wyjazdach spali) dzieci zostawały same. Pewnego razu starszy brat obudził się, nie ma rodziców, postanowił działać sam. Wyrzucił mnie przez okno, sam wyskoczył. Skończyło się szczęśliwie, ja zbudziłam się, a Krzysiek zwichnął nogę. Ta sytuacja nie miała wpływu na decyzję rodziców , aby wzmoc ostrożność (inne okoliczności). Postanowili spać niedaleko domu w polu. Dzieci zawinięte w pierzyny spały, rodzice czuwali na zmianę. To postanowienie ocaliło nam życie. Spaliśmy w kartoflisku, nagle w ciszy nocnej rozległ się łomot, krzyki i buchnął płomień. Rodzice znieruchomieli. Palił się dom, co robić?. Wahanie trwało krótko, złapali po dziecku, zaczęli uciekać. Bez słów wiedzieli, że nie ma powrotu, a kierunek tylko jeden - Łukowiec. Oglądali się, łunę widać było daleko, tym bardziej przyspieszali kroku. Tak dobiegli do

Zyburów. Z Nowosielec wynieśli 2 pierzyny, w które zawinięte były dzieci i to co mieli na sobie. Zaczynali od zera. Zamieszkaliśmy u bardzo dobrych ludzi Anny i Jana Kowalów, gdzie mieszkaliśmy do czasu wyjazdu na Zachód. Tato był stolarzem, a meblem który w tym czasie robił najczęściej - była trumna. Na Ziemi Odzyskanej jechaliśmy wagonami towarowymi, takimi samymi jak Pawlak z „Samych Swoich”. Kiedy pociąg zatrzymywał się, dorośli starali zaopatrzyć się w wodę, żywność, my bawiliśmy się na torach. Tak dotarliśmy do Środy Śląskiej. Stamtąd 22 km furmanką do Mieczkowa. Okazało się, że w Mieczkowie byli już Łukowianie, przyjechali wcześniejszym transportem. Radość, jest gdzie mieszkać, jest co jeść. Osiedliliśmy się w jednym domu z rodziną Kowalów i Kołodziejów (dom duży), mieszkają z nami tak jak w innych domach Niemcy. Tato zostaje wybrany sołtysem, mężem zaufania w cukrowni Pastuchów, jest członkiem Komisji Wyszukiwawczo Zabezpieczającej. Czym zasłużył sobie na takie zaufanie Łukowian - nie wiem. Mimo wszystko Tato myśli o powrocie, mówi „za rok wrócimy na swoje”. Za rok został aresztowany. Przedstawię sytuację, która miała miejsce tuż przed aresztowaniem Taty, my sądzimy, że miała decydujący wpływ na dalsze jego losy. Pewnej nocy z sąsiedniego domu przybiegł z płaczem, bosy, tak jak wyskoczył z łóżka Niemiec - napadli go i rabują (Mama znała język niemiecki, urodziła się w Herzwald pod Berlinem, tam chodziła do szkoły, Dziadek z Babcią Firlitowie byli na robotach). Tato odważnie poszedł na pomoc, nie słuchał prośb Mamy, która czuła niebezpieczeństwo. Okazało się, że żołnierze radzieccy stacjonujący w Czemberowie obecnie Samborz zajęli samochodem, wypędzili z domu całą rodzinę niemiecką, ustawili pod murem i wynosili wszystko z domu. Tato próbował przeszkodzić im w tym, ale Polak przebrany w mundur żołnierza radzieckiego przystawił mu karabin do głowy i ustawił obok Niemców.

Szabrownicy zakończyli prace, odjechali, ludzie pozostali żywi. Przebranego Polaka Tato poznał, czy było ich więcej i kto to był nie wiem. (W wersji Józefa Burdzego, syna Adama szabrownikami byli Polacy, a pomagał im jeden radziecki żołnierz). Niedługo po tym wydarzeniu został zabrany na przesłuchanie, był spokojny, prosił aby Mama nie płakała bo on nic nie jest winien, zaraz wróci. Niestety trwało to ponad dwa miesiące, od grudnia do lutego, a zima tego roku była ostra. Trzymali go w piwnicy. Przesłuchiwanie były częste, a jak pamiętam z zeznań świadków (sprawa z naszego powództwa przeciw WSW) przypominały przesłuchania gestapo znane nam z filmów. Po przesłuchaniu, kiedy nie mógł iść, zrzucali go z góry do piwnicy, wyżył dzięki współwięźniowi, Niestety nie znam jego nazwiska. W domu były rewizje, czegoś szukali. Zarzucano Tatowi przynależność do A.K., nie przyznał się nikogo nie wydał. Do chwili przeczytania wspomnień ks. Dacy i książki Edwarda Polaka ani ja, ani mój brat Józek nie mieliśmy pojęcia o istnieniu na Łukowcu A.K. Dlatego dopiero teraz szczególnie podziwiam Tatę, przecież nie ulega wątpliwości, że dużo wiedział, znał ludzi mógł nie wytrzymać. Było coś jeszcze. W tym czasie otrzymaliśmy list od babci Firlit, która po „wycieczce” do Kraju alajskiego z wojskiem Andersa przez Palestynę, Egipt, Monte Casino, dotarła do Londynu. Odnalazła nas (list nie dotyczył polityki - spraw rodzinnych po długiej rozłące. Pamiętam powrót Taty. Przekroczył Próg - zemdłał. Krzyki ludzi zebranych u nas w domu słyszę do dziś. Trwało to dość długo na szczęście odzyskał przytomność. Resztę życia spędził w szpitalach. Najpierw leżał w Świdnicy. Diagnoza fatalna, wiem, że lekarze nie dawali nadziei. Załatwiła Mama miejsce w klinice we Wrocławiu u prof. Falkiewicza Diagnoza potworna, nie ma nadziei. Czuł się coraz gorzej, chciał widywać dzieci, a było nas wtedy troje, w Łukowcu urodził się brat Józek. Jeździliśmy do Wrocławia często, a była to cała wyprawa. Najpierw 8

km rowerem lub pieszo do Imbramowic (najbliższa stacja kolejowa). Zatłoczonym pociągiem jakie dziś trudno sobie wyobrazić. Powrót dopiero następnego dnia, nie było innego połączenia. Spaliśmy na dworcu, był tam specjalny „Pokój dla matki i dziecka”, dzieci w ubraniach po kilkoro na jednym łóżku leżały, matka siedziała na krześle obok łóżka lub obok pokoju zależnie od tłoku. Pewnej niedzieli gdy przyjechaliśmy Taty nie było. Nie pomogły lekarstwa przysyłane przez Babcię z Anglii. Zmarł 28 listopada 1947 r. Pochowany we Wrocławiu na cmentarzu przy ul. Ordona Bujwida. W latach sześćdziesiątych zwróciliśmy się do Sądu o ukaranie winnych i odszkodowanie. Żyli jeszcze oprawcy, znane były ich nazwiska. Sąd ustalił fakt stosowania wobec Taty niewłaściwych metod i ich związek przyczynowy między śmiercią, zgodził się na odszkodowanie, a o ukaraniu winnych nie było mowy, uznano to za błędy przeszłości. Sprawa ciągnęła się 9 lat, bo WSW stać było na adwokatów więc odwoływali się kilkakrotnie do Sądu Najwyższego. Nasz adwokat z urzędu był bezsilny, my także. Ostatecznie otrzymaliśmy odszkodowanie chociaż znacznie niższe jak zasądzone w pierwszym wyroku.

Dalsza część tego wspomnienia stanowi dwie strony sentencji wyroku w której czytamy ... „Sąd Wojewódzki ustalił fakt stosowania wobec Adama Burdzego niewłaściwych metod oraz związek przyczynowy między śmiercią Adama Burdzego i stosowaniem wobec niego niewłaściwych metod śledztwa i uznał powództwo za uzasadnione na podstawie art. 1 i 3 ustawy z dnia 15 listopada 1956 r. o odpowiedzialności państwa za szkody wyrządzone przez funkcjonariuszy Przy ustalaniu wysokości szkody dla dzieci zmarłego. Sąd przyjął za podstawę obliczania kwotę 1500 zł miesięcznie, którą niewątpliwie Adam Burdzy przez swój wkład w gospodarstwo osiągał i z kwoty tej przyznanej po 200 zł na każde z dzieci” (Sąd przyznał dzieciom renty ... i

kwoty pieniężne z tytułu zadośćuczynienia, a także kwotę pieniężną z tytułu leczenia męża i jego pogrzebu.)

Organizacja o której wspominasz (Rzecz Polska Walczących) myślę, że nie powstała w Osieku. Byli ludzie z wyższymi wyrokami i wcześniej aresztowani Działo się to w latach pięćdziesiątych. Idąc do szkoły, zobaczyłam na skrzyżowaniu dróg stojący odkryty samochód, a na nim pełno mężczyzn stojących jeden obok drugiego. Z tyłu i z przodu stali milicjanci z karabinami. Niecodzienny widok, ludzie zaglądali z daleka, nikt do nich nie podchodził. W Osieku w szkole dzieci zapłakane, aresztowali ojców wielu moich kolegów i koleżanek Jeszcze gorsza wiadomość po powrocie do domu. Zabrali przyjaciela rodziny Karola Wanatowicza (rodzonego brata księży Józefa i Romana) oraz naszego kochanego stryja Józefa Burdzego, który po śmierci Taty został przez ludzi wybrany sołtysiem Mieczkowa, a dla nas stał się opiekunem i doradcą (mieszkaliśmy w jednym domu. Stryj zajął mieszkanie po wyprowadzeniu się z domu rodziny Kołodziejów).

Pamiętam rozprawę sądową i wyrok Stryja. Na pierwszą rozprawę nie wiedziałam, dlaczego mnie zabierano. Okazało się, że miałam tam swoją rolę do spełnienia. Po posiedzeniu sądu, kiedy policjanci prowadzili Stryja, podbiegałam do niego i wręczałam mu paczkę żywnościową. Podobno nie wolno było zbliżać się do więźniów, do dzieci widocznie i milicjanci mieli słabość (z tego co słyszałam nie wszyscy). Sądy miały wtedy mnóstwo roboty.... szło taśmowo.

Będąc na rozprawie Stryja uczestniczyłam wyrok, który bardzo utkwiał mi w pamięci Nieznajomy młody przystojny chłopak z Zastruża (koło Osieka) i jego śliczna równie młodzieńcza dziewczyna, nauczycielka stali w kajdankach. Wyczytali jemu 15 lat za działalność, a jej 8 lat, choć nic nie wiedziała o organizacji. W jej mieszkaniu znaleźli jego dokumenty. Nasz Stryjek, którego kolega z Osieka pod kościołem zaagitował do tej organizacji i proponował pseudonimem

„Słowik” - wiedział, a nie powiadomił władzy - dostał 7 lat z czego około 2,5 odsiedział. Początkowo trzymali go we Wrocławiu na Sądowej potem w Strzelcach Opolskich. W więzieniu pracował w swoim zawodzie był szewcem. Kiedy dorosłam,

pracowałam, Stryjek dał mi radę: „Bogusiu pamiętaj, nigdy nie idź pod prąd, bo ja jak raz poszedłem dostałem 7 lat”. Karol Wanatowicz dostał wtedy 9 lat.

Bogusława Dębicka z d. Burdzy

Starostwo Powiatowe
w Srodzie Slaskiej
Nr. S. P. 9/46

Sroda Slaska, dnia 22 maja 1946 r.

LEGITYMACJA

ob. Burdzy Adam urodz. 14-4-1904
w Bykowiec - Bohatyn zam. w Liechowie
jest członkiem Komisji Wyszczególnienia - Zabezpieczającej
w Liechowie przy repatriacji Niemców.

Jest on upoważniony do zabezpieczenia niemieckiego
mienia, Organa Milicji Obywatelskiej mają przyjąć każde
zgłoszenie o naruszeniu mienia niemieckiego i doniesiona
osoba bezwzględnie aresztować.

Pełnomocnik Rządu R. P.
(R. Czaplinski)



PELNOUOCNIK RZADU R. P

na OBWOD Nr. XV

w ŚRODZIE ŚLĄSKIEJ.

Referat Samorządowy

Nr. *A. 146*

Środa, dnia *11 lutego*

1948 r.

ZASWIAADCZENIE

Stwierdzam, że ob. *Burdzy Adam*
syn *Gracjany i Klary* urodzony *14. 7. 1907.*
zamieszkały w *Mieczkowie*
pełni obowiązki *sołtysa*, podsołtysa w gromadzie *Mieczków*
gminy *Koszęta* pow. Środa.

Wszystkie władze wojskowe i cywilne proszone są o udzielenie
okazielemu pomocy w razie potrzeby.



PELNOUOCNIK RZADU R. P.
(R. CZAPLINSKI)

Kraków, 1988-04-15

Z a ś w i a d c z e n i e

Zaświadczam, że Weronika Burdzy ur. 8.V.1912 r. obecnie zamieszkała: Mieczków 36, gmina-pocztą 55-314 Osiek, woj. Wrocław, a w czasie ostatniej wojny mieszkała: Nowosielce k. Żurawna pow. Bóbrka, woj. Łódzkie, wraz ze swoim mężem Adamem Burdzym ur. 14.VII.1910 r. zmarłym po wojnie, należała do oddziału A.A. w Nowosielcach k. Żurawna wydzielonego z 48 pułku piechoty Karpackiej 11 Dywizji Partyzanckiej Inspektoratu Stryjskiego Okręgu Stanisławowskiego, którym dowodził płk Edward Polak. Zaświadczam również, że tak śp. Adam Burdzy, dzielny żołnierz A.A. jak i jego żona Weronika Burdzy zawsze czynnie i ofiarnie nawet z narażeniem własnego życia współdziałali w ruchu oporu, o czym piszę w moich Wspomnieniach z lat 1939 - 1943 na str. 8, 9 i 10, kiedy w nocy z 28 na 29 września 1943 r. Ukraińska Armia Powstańcza (UPA) chciała wykonać na mnie wyrok śmierci napadła zbrojnie na plebanię w Nowosielcach k. Żurawna.

Włodzisław Dąbrowski



Na krześle Adam Burdzy (zdjęcie z 1926).

Od lewej: rodzina Adama Burdzego
(Krzysztof, Weronika - matka,
Bogusława, Józef, Adam- ojciec).



Żołnierze niemieccy pozują do pamiątkowego zdjęcia na wozie Adama Burdzego.



Kostomłoty 1946 r., zebranie nowych władz i sołtysów okolicznych wsi (wśród nich Adam Burdzy) Od lewej: rodzina Adama Burdzego (Krzysztof, Weronika - matka, Bogusława, Józef, Adam- ojciec).



Mieczków, ślub Staszka Zybury, od lewej: Kazimiera Burdzy, Kazimierz Siekierski; od prawej: Antoni Kantor i Lodzia Zybur



Ksiądz Roman Dac z parafiankami.

Jeden z Listów przesłanych z Niemiec do Weroniki Burdzy (w języku polskim)

8

Hameln 28.2.74

Kochana Pani Weroniko wraz z rodziną!

Na początku dziękujemy za miłe przyjęcie Ursuli naszej i Volkera Hollundera z żoną. Bardzo ucieszyliśmy się z mężem, że Ursula mogła zrobić w Mierzkowie tyle udanych zdjęć. Kilka z nich nam zasysłam i ufam, że sprawią nam trochę radości. Również mam nadzieję, że w liście potraficie wszystko przeczytać. Ponadto załączam 2 zdjęcia które proszę wręczyć temu Polakowi. W 1946 + obciągam mu prawie do połowy dużego palca u nogi, on w podzięk. posyła mi mleko gdy chorowałam ~~(na)~~ na tyfus. Bardzo dobrze się wtedy złożyło, że mas na Zielone Świąta wysiedlono, ponieważ w poradnierniku musiałam się natychmiast poddać operacji. W roku 1960 wybudowaliśmy sobie dom z małym ogrodem i ten ogród z kwiatami jest całą moją radością. Jakże byłibysmy szczęśliwi, gdybyśmy chociaż raz mogli przyjść do grobu Wilhelma: Śmierć naszego kochanego męża bardzo nas wzruszyła. Jakże często on śnił i Erika ~~zawoził~~ przed ruskimi, za to jesteśmy mu do dziś wdzięczni. Już przed laty otrzymaliśmy zdjęcia domu naszego: Niez moim zauważyć, jak daleko w tych latach posunęło się zniszczenie. Do tego odczuwacie niedobór materiałów budowlanych. W roku 1943 byliśmy w N. R. D. Tam te wielkie gospodarstwa podobnie wyglądają. Wzgórza leży gwał. Gdy tylko granicę N. R. F. się opuszcza, wszystko wygląda tam beznadziejnie. Nie i tak Pan Bóg dobrze dał, przed roku 1960 mamy swój własny dom i żadnych trosk pieniężnych. Pomimo podanego wieku jesteśmy jeszcze zdrowi i czujemy się dobrze. W marcu skończy 78 lat i jestem rada, że jeszcze poddam pracy w domu i ogrodzie. Dziadek był zdaniowany tym, że paszowina i obora nie istnieją. Dlaczego?? Nie jeszcze raz najserdeczniej podziękowania za miłe przyjęcie. Wzrostkiego najlepszego nam i naszej ~~rodziny~~ rodzinie.

Wzrostkiego
Erich i Martha Pisz oraz Ursula.

Wzrostkiego kiedyś coś o sobie znać. Może Byżek z Hübnera będzie mógł pomóc.

Korespondencja z USA

Dnia 28.02. 2004 r. otrzymałem ze Stanów Zjednoczonych list a w nim wspomnienia Józefa Burdzego, drugiego sołtysa wsi Mieczków, dotyczące jego aresztowania wraz z opisem śledztwa i przebiegiem odbywania kary. Chociaż przeżycia związane ze śledztwem i odbywanym wyrokiem były dla niego i dla całej jego rodziny okropne, to jednak mamy już do czynienia z „w miarę przyzwoitym” obchodzeniem się z człowiekiem. Dziś trudno mi powiedzieć czy Stryj Józef miał w tym całym nieszczęściu, szczęście czy po prostu trafił na ludzi w miarę cywilizowanych. Ludzie widzieli w organizacji „Rzecz Polska Walczących” jakąś szansę dla Ojczyzny dla Polski - dziś trudno jest to z perspektywy lat ocenić, tym niemniej byli to na pewno porządni Polacy pragnący dla Ojczyzny pełnej wolności i demokracji. Władza ludowa z Moskalami na czele im nie odpowiadała i robili to co uważali za słuszne. A oto zapis Stryja:

Wspomnienie Józefa Burdzego

„Byłem członkiem nielegalnej organizacji tak zwanej „Rzecz Polska Walczących” i też wciągnąłem do tej organizacji dwóch kolegów: Franka S i Michała S. Dnia 13. III. 1952r. przyjechało do mnie dwóch panów po cywilnemu z teczkami jako do sołtysa. Poprosili do mojego pokoju, sprawdzali księgi meldunkowe i zatrzymali się nad moim nazwiskiem. Wtedy wszedł do pokoju trzeci ubowiec w mundurze, w randze sierżanta. Oświadczyli, że jestem aresztowany. Zrobili rewizję i niczego nie znaleźli. Prowadzili mnie do samochodu ciężarowego. Stał on na głównej szosie, gdzie było więcej ubowców. Na samochodzie mieli już dwóch moich kolegów aresztowanych za to samo: Franka S. i Jana S. Zawieźli nas do powiatu, potem zrewidowali, a co mieliśmy przy sobie, zabrali do depozytu. Zamknęli nas w pojedynczych celach. Na drugi dzień całą trójkę skuli i poprowadzili na stację do pociągu. Zawieźli do Wrocławia do U.B. na przesłuchanie. Tam znowu nas rozłączyli, zrewidowano nas gruntownie, dali mi koc i zaprowadzili do piwnicy. Piwnica była straszna. Były w niej ślady po torturach więźniów. Bałem się i skuliłem w kącie. Na drugi dzień oddziałowy przyniósł mi kawałek chleba i kawę. Wypiłem kawę, a chleba nie ruszałem, siedziałem skulony. Trwało to dwie doby, nareszcie przyszedł jakiś kapral zabrał mnie z tej piwnicy na czwarte piętro do celi. Nie było tam nikogo. Kalifaktor przyniósł mi kolację, której nie jadłem. Z tego zmartwienia nie mogłem nic jeść przez cztery dni. Miałem łóżko w ścianie składane, którego nie umiałem rozłożyć. Aż przyszedł kalifaktor i pokazał, jak to się robi. Siedziałem pojedynczo dwa tygodnie, później strażnik zabrał mnie do innej celi*, gdzie było dwóch więźniów, ja byłem trzeci. Stamtąd chodziłem już codziennie na śledztwo. Ubowiec prowadził mnie po kilka razy w ciągu dnia i także w nocy. Do niczego się nie przyznawałem, chociaż bardzo cierpiałem. Nie miałem pojęcia, że oni wszystko o mnie wiedzą. W trzecim miesiącu, oficer śledczy mówi mi: „Ty nie wiesz, to wstań, chodź tu, gdzie ja siedzę, a ja pójdę tam gdzie ty. Jak ty nie wiesz, to ja wiem.” No i byłem zmuszony iść na jego miejsce, a on na moje. Wszystko mi wyczytał co o mnie wiedział i pytał czy tak było. No to powiedziałem: „Tak, to rzeczywiście tak było”. -Wtedy powiedział: "No widzisz durniu, żebyś przyznał się wcześniej, nie siedział byś tak długo u nas". Na trzeci dzień zwolnili mnie z U.B. Oddali do więzienia, tam było o wiele lepiej. Już nie chodziłem na śledztwo, mogłem zapalić papierosa no i 25 maja miałem Sąd wojskowy. Zasądzi mi 7 lat. Na wyroku była cała moja rodzina i bardzo dużo moich znajomych. Trudno mi było przyjąć do wiadomości taką wysoką karę. Po wyroku ostrzygli mnie do skóry, wykapali. Swoje ubranie zdałem do magazynu, a dali więzienne, drelichowe, polatane czerwonymi latami. W spodniach jedna nogawka krótsza, a druga dłuższa. Dostałem też drewniaki bez sznurówek. Pas również mi zabrali. Nie umiałem iść po schodach w tych drewniakach, a jeszcze bez sznurówek. Na drugim piętrze spadł mi jeden drewniak z nogi i poleciał aż na sam dół. Strażnik krzyczał na mnie, kazał mi biegiem lecieć po tego drewniaka. Poleciałem, prosiłem go, żeby pozwolił mi dalej iść boso, bo się zabiję w tych drewniakach. No i pozwolił. Dobry był człowiek. Dnia 19 grudnia

1952r. wywieźli mnie do Ruska, do pracy, w kopania glinki. Byłem bardzo ucieszony, bo to na świeżym powietrzu, no i blisko mego domu, ale to było nie długo. 24 stycznia 1953 r. zabrali mnie ponownie do więzienia we Wrocławiu, już cięższego na Kłęczkowskiej. Dnia 15 maja wywieźli mnie do centralnego więzienia do Strzelca Opolskich, gdzie pracowałem w wytwórni obuwia przy filcakach. 20.VIII przewieźli mnie do kamieniołomów w Strzelcach Opolskich. Tam była bardzo ciężka praca, powiedzieli: „Kto wykona normę, będzie miał liczone dwa dni za jeden i dostanie obiad z dwóch dań”. Norma była: przywieźć do pieca kamienia 24 tony w ciągu 8 godzin wózkiem torowym po szynach z kamieniołomu - do pieca na wapno. Z wielkim trudem wykonywałem tę normę, bo chodziło mi o drugie danie i zaliczenie dwóch dni za jeden, i tak ciągnąłem tę normę przez cały rok. Dnia 25.VIII.1954 r. za dobre sprawowanie i nadrobiony rok oraz amnestię zwolniono mnie.

Józef Burdzy

Komentarz!

Wspomnienia Józefa Burdzego to z całą pewnością tylko mała część historii organizacji konspiracyjnej związanej na terenie gminy Kostomłoty. Czekam na pełniejsze informacje dotyczące tej sprawy. Raz tylko słyszałem rozmowę na ten temat Edwarda Klimasa z moim ojcem. W rozmowie tej pan Edward wymieniał kilka nazwisk ludzi, którzy otrzymali jakieś straszliwe wyroki zrozumiałem wtedy iż były to wyroki śmierci. Ponieważ te rzeczy działy się po wojnie na pewno do nich dotrę i jeszcze coś więcej o tym napiszę. Z naszym stryjem Józefem Burdzym odbywał wtedy karę (chyba za to samo) mieszkający na Walach Śląskich pan Ludwik Nowak. Bo mówiło się w rodzinie, że obaj w więzieniu się poznali i że się tam wspierali.



Józef Burdzy - drugi sołtys Mieczkowa



1927 r. od lewej: Józef Burdzy, Feliks Iwanicki, Władysław Prus, Władysław Chłopowiec, Wojciech Mytych.



Od lewej: Józef Burdzy, Józef Jarosz, Antoni Kopała, Władysław Tęcza, Stanisław Błądek, Władysław Prus, Karol Olech, Józefa Kopała, Wojciech Mytych, Prus, Kazimiera Kopała u dołu: Tekla Jarosz, Janina Burdzy, Hanna Mytych, Pola Błądek, Franciszka Kopała wraz z siostrą, Maria Tęcza, p. Olech.

Pochodzenie Łukowian

Rozważania na temat pochodzenia Łukowian są oparte na prostych wnioskach wynikających z oczywistych faktów, które każdy może sobie sprawdzić przy odrobinie wysiłku. Moi najbliżsi: dziadek Karol Burdzy urodzony we wsi Burdze (8 km od Stalowej Woli, wieś w Puszczy sandomierskiej, do dzisiaj większość zamieszkałych tam ludzi nosi nazwisko Burdzy. Babcia Ewa z domu Tęcza urodziła się we wsi Kopcie koło Kolbuszowej pradziadek Józef. Ziemiański urodzony w 1872 r. w Rzeszowie - więcej nie wiem. Dziadek Antoni Faszynkieder ur. w 1900 r. w Górze Ropczyckiej koło Dębicy wszyscy więc moi przodkowie pochodzą z Rzeszowszczyzny (Sandomierszczyzny). Inni Łuko wianie Majdański Jan -stolarz pochodził z Ranizowa koło Kolbuszowej. Rodziny Paczkowskich i Wosiów wywodzą się z lubelskiego, rodzina Turbaków podobno z krakowskiego (uważają się za rodzinę pochodzenia góralskiego). Zapis J. Szulc, iż część rodzin pochodzi z okolic Tarnowa, ma także swoje uzasadnienie. Pan Edwart Sabat potwierdza, że jego przodkowie są spod Tarnowa. Patrząc na dokładną mapę rzeszowszczyzny, ze zdziwieniem zauważyłem, że jest tam sporo miejscowości, które mają odpowiedniki w nazwiskach wielu rodzin łukowieckich i tak koło Niska są wsie Sudóły i Malce niedaleko Tarnobrzegu wsie Cygany i Krawce koło Wilczej Woli wsie Babule, Sobale, Ozgi, Szwedy i Jadachy o wsi Kopcie już wspomniałem. Dalej koło Wilczej Woli wsie Zdziary, Marki, Drozdów i Stece, Szczęchy, Dule, Korczyn, Kowale, Serafiny, Błądki. Smaku temu wszystkiemu dodaje jeszcze fakt, iż na przykład aż po dwie wsie na tym terenie nosi nazwę Sudóły, Rębisze czy Szwedy. Kilka wsi ma w nazwie słowo Majdańskie. Prawie wszystkie te miejscowości, jak punkty na tarczy herbowej, można umieścić w byłym województwie tarnobrzskim.

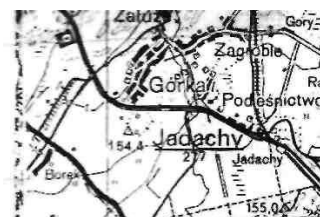
Suma sumarum nazwiska są związane z miejscowościami. Trudno powiedzieć, czy wsie powstały od jednego przodka, czy na zasadzie: „My tu wszyscy na wsi jedna rodzina: Sobale, Babule, Kopcie, Malce i inaczej nie chcemy się nazywać”.

Najprawdopodobniej Łukowiec Wiszniowski powstał w XIX wieku, a Żurowski, czego jesteśmy pewni, w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Część mieszkańców Łukowca Żurowskiego zwanego też Nowym Łukowcem wywodziła się z Łukowca Wiśniowskiego zwanego Starym. Stąd też na obu Łukowcach mieszkali ludzie o takich samych nazwiskach i mocno ze sobą spokrewnieni. Wiele osób w rozmowach ze mną podkreślało także fakt, iż Łukowiec Żurowski powstał z parcelacji majątku, któregoś z naszych arystokratów, który zastrzegł sobie podobno sprzedaż ziemi jedynie Polakom. Stąd na Łukowcu Żurowskim nie było poza Polakami ani Ukraińców ani Żydów, zaś na Łukowcu Wiszniowskim było kilka żydowskich rodzin.

Na zakończenie moich krótkich dywagacji dotyczących pochodzenia łukowian pragnę zaznaczyć jeszcze, iż kilka kilometrów od Tarnobrzegu znajduje się miejscowość o nazwie „Łukowiec” **Czyżby tu należało szukać pionierów Łukowca?** Pani Janina Szulc w swoich wspomnieniach o Łukowcu pisze, że założycielem wsi był inż. Błądek, dziadek Marcina Kozła.



Wsie: Drozdów, Rebisze, Zdziary, Kopcie, Sobale, Sudół, Bednarze, Ozgi, Serafiny, Szczęchy, Szwedy, Majdańskie, Stece, Dule, Tęcze.



Wsie: Kołodzieje i Kozły, Krawce, Burdze i Jadachy.



Wsie: Cygany, Kowale, Wojnasy, Marki, Babulei, Bładki, Poręby Majdański.

Medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” dla rodziny Kuchtów

„Zeszyt” Nr 3 zawiera notatkę dotyczącą uratowanych 4 osób narodowości żydowskiej przez zamieszkałą na Łukowcu Żurowskim rodzinę Jana Kuchy. Relację dotyczącą udzielonej Żydom pomocy w czasie okupacji wraz z materiałami dotyczącymi procedury nadania medalu i korespondencja z Instytutem Yad Vashem przedstawiam państwu do wglądu - relacja jest przepisana ze względu na niewielkie przebarwienia kartek.

Rodzina Państwa Kuchtów do dziś utrzymuje kontakt z jedną z uratowanych wtedy osób-panem Henrykiem Libermanem.

Relacja udzielających pomocy

1. Szczegóły dotyczące udzielającego pomocy i korzystających z niej

- a) Jan Kuchta
- b) Urodzony 10.02.1924 r., to znaczy, że mam teraz 74 lata
- c) 59-300 Lubin ul. Olchowa - Polska
- d) na emeryturze jako były pracownik pożarnictwa
- e) wieś Łuko wiec Żurowski pow. Rochatyn Mało - Polska (Galicja) wschodnia , teraz Zachodnia Ukraina okręg Lwów
- f) Ojciec mój Jan Kuchta - to samo imię jak ja) był leśniczym i rolnikiem. W 1943-44 r. miałem 19-20 lat i pracowałem na gospodarce rolnej u moich rodziców, to znaczy, że byłem również rolnikiem. Mieliśmy 6 hektarów ziemi rolnej, ogród i sad a także własny dom.

Szczegóły dotyczące historii ocalenia

- a) Moja Mama Józefa miała siostrę w mieście Żurawnie (około 7 km od mojej wioski Łukowie). Mąż tej siostry Sobieraj był członkiem rady miejskiej tego miasta i był sąsiadem zaprzyjaźnionym z pewnym Żydem w tym mieście Dawidem Libermanem (również członkiem rady miejskiej). Podczas wiosny 1943 roku przyszli do nas Sobieraj razem z żoną (to znaczy mój wujek i moja ciotka) żeby przekonać moich rodziców do ratowania 3 osób żydowskich, rodziny Liberman, bo nasz dom był koło dużego lasu. Rodzice moi się zgodzili na to i tak się nawiązała nasza znajomość i kontakt z korzystającymi z mojej pomocy z rodziną Liberman w mieście Żurawno. Gdy Oni przyszli do nas, to zabrali ze sobą z tego samego miasta też Maxa (Mosze) Princa
- b) W czerwcu 1943 r. (przed żniwami) ojciec mój i ja schowaliśmy tych czworo Żydów w łanie zboża (na polach koło lasu). I tam przynosiliśmy im jedzenie (tzn. mój ojciec albo ja). Gdy się zbliżały żniwa, tośmy wybudowali w naszej stodole skrycie dla nich i oni tam przebywali do końca jesieni 1943 r., a na zimę wybudowaliśmy dla nich takie skrycie na strychu naszej stajni, tam im było cieplej aniżeli w stodole. Moja matka i siostry Aniela i Władka przynosiły im jedzenie. Pod koniec wiosny 1944 r. i w lecie gdyśmy się obawiali poszukiwań w naszym domu to ojciec mój i ja znając dobrze las pokazaliśmy im pewne miejsca w lesie dokąd inni ludzie nie chodzą (bagna) i tam oni przebywali znów albo mój

ojciec a jak nie on to ja, przynosiliśmy im jedzenie. Pobudką moją w tej pomocy była miłość bliźniego.

- c) Było o tym wiadomo i jest również dzisiaj, że Niemcy karali śmiercią taką pomoc Żydom. To znaczy rozstrzeliwali całą rodzinę ratujących razem z Żydami.
- d) Mieliśmy w rodzinie troje małych dzieci Emilia (Milka) ur. w 1933 r., Józef (Józek) urodzony w 1937 r. Czesław (Czesiek) urodzony w 1939 roku, te dzieci nie wiedziały wtedy nic o naszej tajemnicy, ale Milka po wojnie nam opowiadała, że ona coś podejrzewała, ale wiedziała lub rozumiała, że nie wolno się jej niczego pytać. Dwie starsze siostry Aniela Kuchta (teraz zamężna Malec) urodzona w 1926 roku i Władysława Kuchta (teraz zamężna Buczak) urodzona w 1938 roku, pomagały naszej mamie w przygotowywaniu jedzenia dla ratowanych, w praniu ich bielizny i w przynoszeniu jedzenia do ich kryjówki w stodole lub nad stajnią.
- e) Podczas wiosny 1944 r. gdy Armia Czerwona szła naprzód na zachód i front się zbliżał (koło Tarnopola około 100 km. od nas) przyszły do naszej wioski jednostki wojsk niemieckich i ćwiczyły w lesie niedaleko nas. Pewnego dnia zaczęli ćwiczyć na dachu naszej stajni, gdzie wybudowali sobie w celu wojskowych ćwiczeń punkt obserwacyjny, zaledwie kilka metrów od kryjówki naszych ratujących się Żydów. W tych godzinach do końca ich ćwiczeń drżeliśmy wszyscy ze strachu.
- f) Ja nie wiem o żadnej opłacie naszej rodzinie ze strony ratujących się Żydów.
- g) Ratujących się Żydów przyprowadziłem do nas na początku czerwca 1943 r. 7.06 lub 8.06 i byli oni pod naszą opieką aż do zdobycia naszej wioski przez Armie Radziecką pod koniec lipca 1944 roku (27.07 lub 28.07). Jak wyżej wspomniałem miejscem opisanych wydarzeń, było nasze rolnicze gospodarstwo w polskiej wiosce Łukowiec Żurowski (teraz okręg Lwów w zachodniej Ukrainie) oraz lasy i pola między naszym domem a Ukraińską wioską Holeszów (w tym samym okręgu).

Osoby ratowane (Żydzi)

- a) n.w. Dawid Liberman, urodzony 19.05.1894 r. który zmarł w Izraelu 26.06. 1977 r.
- b) jego żona Estera Liberman, urodzona 11.11.1901 r. która również zmarła w Izraelu w dniu 13.07.1976 r.
- c) ich syn Henryk (C W I) Liberman, urodzony 1.07.1927 r. który był w Izraelu adwokatem i sędzią, a teraz jest na emeryturze. W tej chwili znajduje się w Niemczech w celu leczenia różnych chorób. Mam z nim kontakt po dzień dzisiejszy.
- d) Maks (Mosze) Prinz, urodzony w listopadzie 1917 r. Miałem z nim kontakt do kwietnia 1997 r. Niestety on zmarł nagle również w Izraelu, w maju 1997 r.

כאילו קיים עולם חלל * * * KTO RATUJE JEDNO ZYCIE, RATUJE CAŁY LUDZIE



כל החקיים נפש אחת * * * KTO RATUJE JEDNO ZYCIE, RATUJE CAŁY LUDZIE

תעודת כבוד Dyplom Honorowy

NINIEJSZYM ZAŚWIADCZA SIĘ, ŻE RADA
D/S SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW
ŚWIATA PRZY INSTYTUCIE PAMIĘCI
NARODOWEJ YAD VASHEM PO ZAPOZNANIU
SIĘ ZE ZŁOŻONĄ DOKUMENTACJĄ
POSTANOWIŁA NA POSIEDZENIU W
DNIU 30 • III • 1998 r.
ODZNACZYĆ

וזאת לתעודה שבישיבתה
ביום א' ניסן תשנ"ח
החליטה הועדה לציון
חסידיו אומות העולם
שליד רשות הזיכרון יד ושם
על יסוד עדויות
שהובאו לפניה, לתת כבוד
ויקר ל

**Jana i Józefę Kuchitów oraz ich
dzieci Jana, Aniele i Władysława**

MEDALEM SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD
NARODÓW ŚWIATA, W DOWÓD UZNANIA
ŻE Z NARAŻENIEM WŁASNEGO ŻYCIA
RATOWALI ŻYDÓW PRZEŚLADOWANYCH
W LATACH OKUPACJI HITLEROWSKIEJ.
IMIONA ICH UWIECZNIONE BĘDĄ NA
HONOROWEJ TABLICY W PARKU SPRA-
WIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA
NA WZGÓRZU PAMIĘCI W JERUZOLIMIE.

על אשר בשטת השואה
באחרונה שמו נפשם בכפם
להצלת יהודים נרדפים
ע ידי רודפיהם ולהעניק להם
את המדליה לחסידיו אומות
העולם.
שמים יונצח לעד על לוח-
כבוד בחורשת חסידיו אומות
העולם ביד ושם.

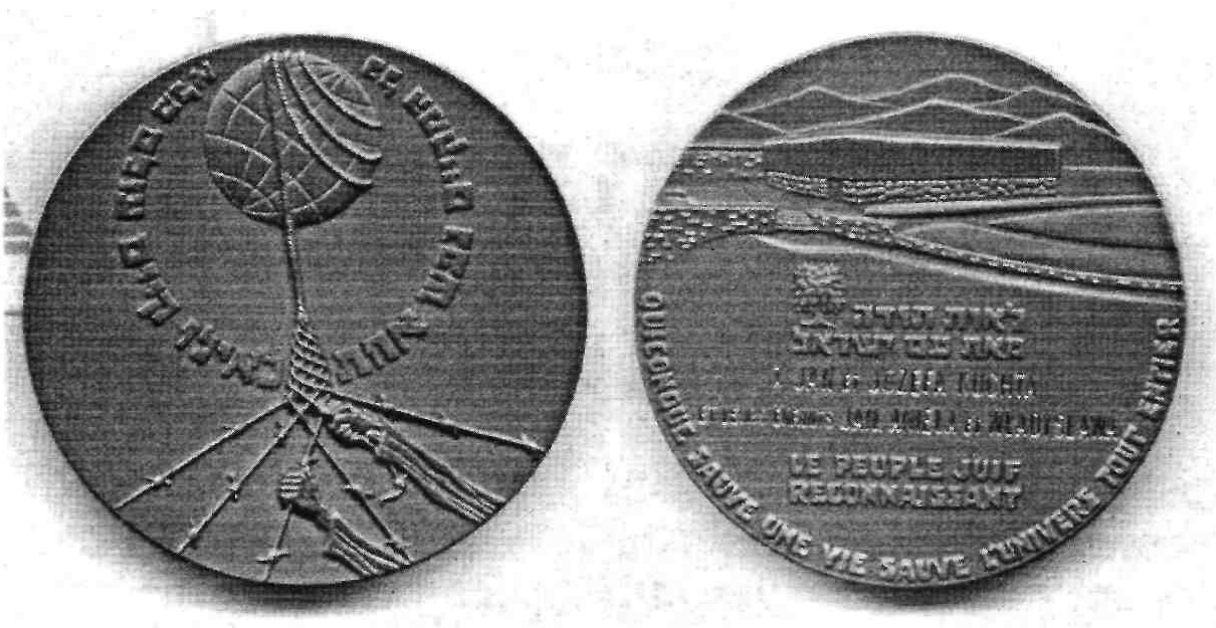
Jerozolima, Izrael, dnia
7 • XII • 1998 r.

ניתן היום בירושלים
י"ח כסלו תשנ"ט

Amos Shalev
בשם רשות הזיכרון יד ושם
"מחלקת המידע והפרסום"



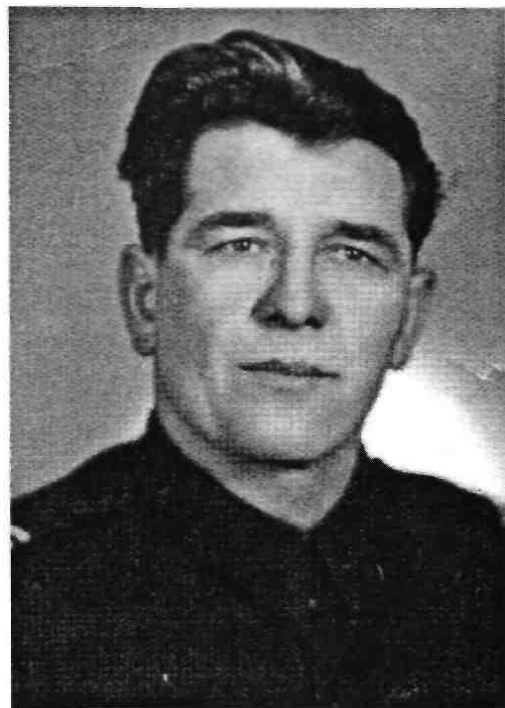
[Signature]
בשם הועדה לציון חסידיו אומות העולם
"RADA D/S SPRAWIEDLIWYCH WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA"



Awers i rewers medalu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.



Pani Józefa Kuchta (zdjęcie powojenne).



Jan Kuchta, żołnierz Armii Krajowej i
Istriebitelnych Batalionów.



ה'תש"ז
ה'כסארישער
וויסנשאפטלעכער
א'י.ס.י.ס.

YV-208/98-2406/T

Pan Jan Kuchta
ul.Olchowa 6
59-300 Lublin

Instytut Pamięci i Martyrologii Żydów - Yad Vashem w Jerozolimie powiadomił nas o przyznaniu Pana Rodzinie zaszczytnego odznaczenia "Sprawiedliwy wśród Narodów Świata". - Serdecznie gratulujemy.

Sprawa tego odznaczenia załatwiona została bezpośrednio w Yad Vashem, wobec czego w aktach naszego Instytutu nie ma żadnych dokumentów z tym związanych. Chcielibyśmy to uzupełnić, ponieważ zamierzamy przystąpić do opracowania nowej edycji "Księgi Sprawiedliwych". Księga ta zawiera noty dotyczące osób odznaczonych oraz ich fotografie.

W tym celu uprzejmie Pana prosimy o nadesłanie nam relacji dotyczącej udzielonej Żydom pomocy w czasie okupacji niemieckiej przez Pana rodzinę. Prosimy też o wypełnienie dla każdej osoby odznaczonej /również dla osób już nieżyjących/ załączonych kwestionariuszy, oraz dołączenie fotografii tych osób, jeżeli jest to możliwe z okresu okupacji, w formie paszportowej.

Do niniejszego pisma dołączamy "wytyczne", które ułatwią Panu napisanie relacji oraz informacje dotyczącą pomocy finansowej.

Łączymy wyrazy szacunku

Kierownik Działu
Kultury i Ochrony Dziedzictwa

złote
mar Janina Sacharewicz

Załączniki:

- Kwestionariusze - 5 szt.
- Wytyczne
- Pismo informacyjne



ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY
Instytut Naukowo-Badawczy

00-090 Warszawa, ul. Tłomackie 3/5

tel. 27-92-21 tel./fax 27-43-72

ידי שער
היסטאריסער
וויסנשאפטלעכער
אינסטיטוט

YV-208/98-2406/T

Warszawa, dnia 7 lipca 1998 r.

Pan Jan Kuchta
ul. Olchowa 6
59-300 Lublin

Szanowny Panie!

W związku z otrzymaniem z Instytutu Pamięci i Martyrologii Żydów - Yad Vashem w Jerozolimie zaszczytnego tytułu "Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata" - Żydowski Instytut Historyczny przesyła Pani/Panu serdeczne gratulacje.

Jednocześnie informujemy, że osoby odznaczone, a znajdujące się w wyjątkowo trudnych warunkach materialnych, mogą otrzymać niewielką pomoc finansową z amerykańskiej fundacji charytatywnej. Istnieje też możliwość uzyskania leków ze szwajcarskiej fundacji Anny Frank.

Szczegółowych informacji w tych sprawach udziela Polskie Towarzystwo Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Warszawie, ul. Miodowa 6/8, pokój nr 12. Towarzystwo przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki (oprócz świąt) w godz. 15.30 - 17.00. Do godziny 16.00 czynny jest telefon 26-70-21 wew. 512, a po godz. 16.00 tel. 26-22-91 wew. 512. Adres pocztowy Towarzystwa: 00-956 Warszawa 10, skrytka pocztowa 104.

Ponadto zawiadamiamy, że wszystkie osoby uhonorowane odznaczeniem wymienionym na wstępie mogą zostać członkami Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. W tej sprawie również należy zwracać się bezpośrednio do Towarzystwa.

Łączymy wyrazy szacunku

Hele

P.S. Z treścią powyższego pisma prosimy również zapoznać Pana Siostry - Anielę i Władysławę oraz przesłać ich kwestionariusze.



AMBASADA IZRAELA
WARSZAWA

שגרירות ישראל
ורשה

Odznaczeni : Michał i Zofia Gorczyca
medal odbierze Zofia Gorczyca

Uratowani : Cecylia i Paulina Rathouser

W 1942 Michał Gorczyca zaprzyjaźnił się z rodziną Rathouser w małym miasteczku na Ukrainie, dokąd zostali wygnani na początku wojny. Michał Gorczyca wydostał Paulinę i Cecylię z getta Skalat i zabrał je do Krosna. Obie kobiety dostały aryjskie papiery i mieszkały u rodziny Gorczyców do końca wojny.

Odznaczeni : Andrzej i Anna Godawa, Maria Godawa i Janina Cicha
medal odbierze Janina Cicha

Uratowana : Szoszana Rom

Szoszana Rom urodziła się w marcu 1942 w lwowskim getcie. Podczas jednej z łapanek jej matka, Eugenia, ukryła się i po zdobyciu aryjskich papierów wyjechała do Krakowa. Kiedy Eugenia została uwięziona przez Gestapo, a jej mąż stracony, dzieckiem zaopiekowała się Janina Godawa i jej rodzina. Po sześciu miesiącach Eugenii udało się uciec z więzienia i odnaleźć córkę.

Odznaczeni: Jan i Józefa Kuchta z dziećmi

medal odbiorą : Jan Kuchta, Aniela Malec i Władysława Buczak

Uratowani: Dawid i Ester Liberman, syn Cwi Liberman, Mosze Princ

Gdy Dawid Liberman szukał schronienia jego kolega z rady miejskiej, w której pracował odszukał rodzinę Kuchtów którzy mieszkali we wsi Łukowicz. W tym gospodarstwie Dawid Liberman z rodziną ukrywał się przez rok. W razie zagrożenia ze strony Niemców czy Ukraińców chronili się w pobliskim lesie. Po zakończeniu wojny rodzina Libermanów wyjechała na Dolny Śląsk a następnie wyemigrowała do Izraela.

Odznaczeni : Andrzej Garbuliński, synowie Władysław i Marian,
sąsiad Stanisław Owca

medal odbierze córka Stanisława Owcy - Janina Filus

Uratowani: Sara Alpenbaim z córką Chaną i synem Meirem

Sara z dziećmi uciekła z obozu w Płaszowie w 1940 roku i szukała schronienia we wsi Czerna. Zaopiekowała się nimi rodzina Garbulińskich razem z sąsiadem, Stanisławem Owcą. W 1943 r. Sara wraz z dziećmi została zabita przez Gestapo w czasie ucieczki. Zamordowani zostali także Andrzej Garbuliński i jego syn Władysław oraz Stanisław Owca.

Relegio
W Y T Y C Z N E *dla osoby nieżyjącej*

dotyczące przygotowania dokumentów do wniosku o przyznanie odznaczenia "SPRAWIEDLIWY WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA".

Wykaz dokumentów:

1. Kwestionariusz osobowy
2. Relacja
- ~~3. Oświadczenie świadka żydowskiego~~

- Ad. 1 - Kwestionariusz osobowy wypełnia w 1 egz. osoba lub osoby, które w czasie okupacji niemieckiej pomagały Żydom. Jeżeli kwestionariusz dotyczy osób już nieżyjących - osoba wypełniająca podpisuje go własnym imieniem i nazwiskiem zaznaczając np. "za zmarłą matkę /ojca/ - córką", podając datę zgonu.
- Ad. 2 - Relację przygotowuje osoba /osoby/, która w czasie okupacji niemieckiej niosła pomoc Żydom. W dokumencie tym należy możliwie szczegółowo opisać przebieg wydarzeń dotyczących sprawy, uwzględniając:
- a/ nazwiska i imiona oraz wiek zarówno osób pomagających, jak też korzystających z pomocy,
 - b/ adresy lub nazwy miejscowości, w których wydarzenia te miały miejsce,
 - c/ czas trwania pomocy /od ...do/, na czym polegała ta pomoc oraz z jakich pobudek była udzielona /religijnych, politycznych, humanitarnych itp./. Czy była bezinteresowna,
 - d/ informację, czy osoby biorące udział w opisywanej akcji pomocy Żydom były prześladowane, szantażowane, represjonowane itp.
 - e/ inne szczegóły dotyczące sprawy.
- Jeżeli osoba, której udzielono pomocy przeżyła wojnę, to prosimy o podanie czy strony są ze sobą nadal w kontakcie. Relacja, która dotyczy osób już nieżyjących powinna być przygotowana przez bliskich członków rodziny, znających sprawę z autopsji lub z przekazów rodzinnych.
- Podpis autora relacji należy poświadczyć urzędowo. Relację należy złożyć w 1 egz., ~~w maszynopisie~~ ^{prentac} oraz dołączyć do niej fotografię osób, które brały udział w akcji pomocy.

Dokumenty o których mowa wyżej należy ^{prentac} złożyć w Żydowskim Instytucie Historycznym, Sekcja Odznaczeń Yad Vashem, 00-090 Warszawa, ul. Tłomackie 3/5 /pokój nr 1/, tel. 27-92-21 wew. 21



Wrocław Ratusz - rodzina Kuchtów - po otrzymaniu medalu „Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata”.



Przed domem Jana Kuchty w Lubinie, od lewej: Jan Kuchta, Henryk Liberman, żona Jana Kuchty - Wiktoria, syn pana Libermana, u dołu córka pana Kuchty - Stanisława.



Cmentarz w Brunowie, przy grobie Józefy Kuchty.



Henryk Liberman na cmentarzu - przy grobie Jana Kuchty.



Listy od czytelników

Chomiąta 2 marca 2004

Tadeusz Malec
Chomiąta 67
55-320 Malczyce

Szanowny Panie Burdzy

Bardzo dziękuję za odpowiedź na mój list, przesłany 2-gi numer Zeszytów Łukowieckich oraz obietnicę w sprawie książki Pana Polaka. Zasługuje Pan na uznanie za to że podjął się wielkiego trudu odkurzenia historii Łukowca oraz losów ludzi tworzących tę historię. Szkoda tylko, że obecnie coraz trudniej spotkać ludzi którzy żyją i pochodzą z Łukowca.

Ale lepiej późno niż wcale bo można jeszcze ocalić od zapomnienia wiele znanych i mniej znanych zdarzeń z tamtego okresu. Pana Zeszyty są bardzo na czasie gdyż żyjemy w dziwnym okresie w którym historię pisze się od nowa i w coraz większym stopniu to właśnie Polaków uważa się za sprawców krzywd na Niemcach, Żydach i Ukraińcach a nasze władze wykonując gesty przepraszające, niestety tylko potwierdzają te kłamstwa.

Stąd też w celu pokazywania prawdy młodszemu pokoleniu Łukowian należy rozpropagować te Zeszyty oraz nawiązywać kontakty z żyjącymi jeszcze Łukowianami i zdobyć jak najwięcej wiadomości.

Ja drugi numer skseruję i postaram się podać go dalej aby zainteresować kogoś z Lipnicy tymi sprawami, kto by mógł coś powiedzieć lub napisać na ten temat.

Już wiem, że córka Kurpisza po przeczytaniu drugiego numeru Zeszytów napisze do Pana na jakieś fotografie i podobno widokówkę z Kochawiny, którą to zapamiętałem z wyjazdu na odpust.

Pisze Pan o chęci dotarcia między innymi do Jenkowie, otóż tak się składa, że moja żona jest z Jenkowie to jest Stanisława Falińska. Jej mama pochodziła z Rogowskich i była córką Macieja i Marii Rogowskich. Oczywiście żona urodziła się w Jenkowicach ale mi podpowiada że wie kto jeszcze w Jenkowicach żyje i pochodzi z Łukowca a są to -

Wanatowicz Maria to jest bratowa księdza Wanatowicza
Kazimierz Miśkiewicz syn Adama
Targosz Stefania z domu Sroga
Kopała Henryk syn Franciszki Kopały
Maria Rogowska z domu Skowron
Maria Maciąg z domu Kozieja
Kazimierz Ośga syn Agnieszki
Ziemiański Marian o którym Pan wspomina zmarł już kilka lat temu.

Pisze Pan, że chciałby otrzymać jakieś informacje o takich osobach jak Cacia Dziuba czy Bal. Otóż do Lipnicy w 45 roku przyjechaliśmy razem z Balen Janem podobno był ważną i cenioną postacią na Łukowcu, przyjechał z synami Stanisławem, Antonim i Tadeuszem oraz dwoma córkami. Mieli duże gospodarstwo, Bal Jan zmarł już bardzo dawno a w Lipnicy mieszkają jeszcze dwie córki, Był też w Lipnicy Bal Brzłoniejski z dużą rodziną, mieszka tam jeszcze jedna z córek. Dziuba Antoni gospodarował też w Lipicy obecnie mieszka tam jego syn Marian. Brat Dziuby Antoniego Feliks Dziuba osiedlił się w Chomiąty i też nie żyje od kilku lat. Ale żona mi podpowiada że jakiś Dziuba był też w Zabłociu i Kieczkowie

W Lipnicy mieszkał też i gospodarował Jan Burdzy, czy to Pański krewny? , zmarł już dawno, mieszka tam jeszcze jego córka Józefa.

Natomiast Cacia Józef mieszkał na Łukowcu Wiszniowskim był długi czas sołtysem. Został w 45 roku wywieziony na Sybir razem z Panem Polakiem i przebywał tam aż 15 lat. Jego żona Maria i córka Anna po przyjeździe tu jako repatrianci do miejscowości Rzeczyca starali się o powrót Cacia z Sybiru do Polski ale mieli duże trudności. Jeździli do Warszawy do KC, składali podanie i po trzech miesiącach wrócili na Łukowiec był chory, sparaliżowany z Łukowca żona przywiozła go do Polski do miejscowości Rzeczyca mógł to być rok 1960, był tu kilka miesięcy i zmarł.

Pani Cacia Maria żona Józefa zmarła w 1992 r. Żyje jeszcze 3 córki Pana Cacia, Helena mieszka w Ameryce, Zofia w Niemczech a najmłodsza Anna mieszka w Chomiąży i jest naszą sąsiadką i powyższe informacje przekazała wczoraj mojej żonie.

Jak widać tak jak Polacy są rozrzućeni po całym świecie tak Łukowianie posiedlali się po całym Dolnym Śląsku. Oprócz miejscowości które Pan wymienia w Zeszytach Łukowian można też spotkać w Rzeczyca to jest miejscowość koło samej Odry która podczas powodzi w 1997 roku została doszczętnie zalana do wysokości 1,5 metra. Moja Ciocia Maria Rejman osiedliła się w Łazanach koło Żarowa i tam też przyjechało więcej Łukowian. Rodzina Michała Jarosza zamieszkała aż w Bołnowicach koło Strzelina.

Wracając do drugiego numeru Zeszytów to na drugiej stronie jest wzmianka o napadzie Ukraińców na młyn w Łukowcu, od razu przypomniała mi się ta sprawa, bo mama niejednokrotnie opowiadała o Łukowcu wspominała właśnie ten napad i to że jakimś cudem ocalał wówczas Jan Cygan syn Andrzeja, który tam się znalazł. Podobno uciekając schował się w takim pomieszczeniu pod taśmociągami czy też sitami gdzie sypała się mąka i było duże zakurzenie Ukraińcy po zajrzeniu do tego pomieszczenia nie mogąc wiele zobaczyć, jeden z nich chciał tam rzucić granat ale drugi odniósł go od tego mówiąc że tam na pewno nie ma nikogo. I oto ostatnio spotkałem się z mieszkańcem Lipnicy Łukowianinem, zapytałem go czy coś pamięta z Łukowca, odpowiedział że niewiele bo miał 8 lat ale napad na młyn pamięta bo się tam znalazł, potwierdził nazwiska uprowadzonym z młyna i pamięta jak z Cyganem Janem po napadzie uciekali z tamtąd. Pytałem go czyby nie opisał tego zdarzenia dokładnie co widział i pamięta, ale odmówił.

Kończąc wyrażam pragnienie otrzymywania kolejnych numerów Zeszytów Łukowieckich, niewiem czy można je zaprenumerować czy stosuje Pan inną formę zapłaty za nie, obojętnie jakie, przyjmę warunki zapłaty.

Następnym razem postaram się przesłać Panu jakieś odbitki fotografii z Łukowca.

Zasylam pozdrowienia.

TM,

Marcinowice 11.03.2004.

Drogi Franuś z rodzinną!

Dzięki za nowy numer „Kuryłów Łukowieckich”, przeczytałam od początku do ostatniej kropki tak jak poprzednie. Mimo, że w Łukowie byłam małym dzieckiem (jestem 1949) to żyłam wśród Łukowian i z nimi się utożsamiam. Nasłuchiłam się różnych opowiadań i na końcu nie wiem co pamiętam z Łukowa a co z opowiadania.

Czytam z zainteresowaniem bo znam dużo jeśli nie ludzi to nazwiska z tamtych stron.

Jeśli chodzi o rodzinę Burdych zdawało mi się, że dużo, wroni choruje się, że niewiele.

Wiedziałam, że Siekierska, Kantorowa, Szczęchowa z Mielkowską, matka Majdanińskiej, Cyganowska, Furtekowa z Onka, Furtekowa i Sudolowa z Mielęcina, Baranowa ze Skłata, Trusowa Hanka i Weronka to nasza rodzina, to siostry stryjeczne Taty.

Znałam osobiscie Strzykę Burdę z Lipnicy (zapomniałam imię), odwiedziłam go kiedy chodziłam do szkoły w Trokcu St. W Lipnicy mieszkała jakaś siostra Taty nie pamiętam nazwiska.

Mamy też rodzinę w Kanadzie. W 1965r. odwiedził nas kuzyn Burdy (wpisany, brak imienia) z Kanady - był tam bezrobotny, komunista - tak mówił o sobie. Zapamiętałam bo zartowaliśmy z nim, mówiliśmy „Po co budujesz Kanadę językiem komuni, zostaniesz w Polsce, masz gotowca”.

W tym numerze wspominałeś Kuba Burdę, on często nas odwiedzał, był nauczycielem. Bardzo jestem ciekawa co z nim, może da ci znać o sobie. Ostatnio spotkałam się z nim na Studium Nauczycielskim w Hrubieszowie, około 40 lat temu, nie miałam jego adresu.

Babcie Zofie Winiowskiej pamiętała Strzyżanka żona Józefa, mówiła, że była bardzo ładna ale o majątności dziadków nie nie wspominała.

O wsi Burdę słyszałam. Mama mówiła, że moja Babcia żona Józefa pochodziła ze wsi Burdę i nazywała się Klara Burdy. To że była Klara Burdy to fakt a czy pochodziła z tej wsi tego nie jestem pewna.

W Onku mieszkał Wojtek Burdy, wiem od mamy, że to nie była nasza rodzina ale żyliśmy bardzo blisko. Tato przyjechał się ze Strzyżką a on z jego dzieci.

Po śmierci Taty jeszcze zbliżyliśmy się. Wyprowadzili się z Onka do Świebodzie. Był tam w Świebodzie na Strzyżkę pogrzebie (lata osiemdziesiąte), chorował był z honorami

kombatantkami. Premawiając kombatant wymieniał zasługi i funkcje jakie pełnił w AK nie pamiętam szczegółów ale zrobiło to na mnie wielkie wrażenie tym bardziej, że w tym czasie to był temat tabu.

Wspomnę jeszcze o aresztowaniu Strójka Józefa zdaje mi się, że razem z Ociekającymi zabrali Hanetoniera, po Strójka specjalnie się „fatygowali”. Kasia była już dorosła napewno dokładnie to przedstawiła.

List z Niemiec to nie tłumaczenie lecz ksero oryginału, pisali o Memy po polsku, mieli tam kogoś tak wspaniale znającego język polski.

Koniec i jak widziałeś wiele wiem, od lat mieszkam z dala od rodziny i Lukarian, dzięki Twoim zeszytom przynajmniej na chwilę wracam do Swoich.

Jak się okazuje nie tylko Lukarian ale i Burdzych trzeba szukać po Świecie, rozsypani po całej Polsce są w USA, w Kanadzie, Niemczech, Irlandii, Anglii, w Holandii jest moja córka. Wysłała za Holendra i wzięła męża po Holendersku, po polsku rozumie ale z moim ciężko. Jeszcze są małe kłopoty (4, 6 lat) mam nadzieję, że z czasem nauczą się.

Koniec sły serdeczne pozdrowienie
dla całej Twojej Rodzinki, życzę z rodziną
i kłóś z rodzinami

Bębiśke

Odmeloziam zdjęcie o którym
Ci wspominałam, wmuzelek potrzebował
na lekcję historii.

Komplet „zeszytów” wysłałam do Mietke Pięroga syna Cioci Klary (25)
Chcę nadzieję, że marysuje moje drzewo genealogiczne. Wdziękuje ich
wszystkich za pogrzebie Cioci we wrześniu (spora grupka). „Rodzina z odzysku”
mówili na mas bo też nas nie mieli, mieszkają w Zielonej Górze.

Stano Supernat
ul. Dączyńskiego 43
15-300 Grodło BL.

27. 03.2004

Ganie Burdzy

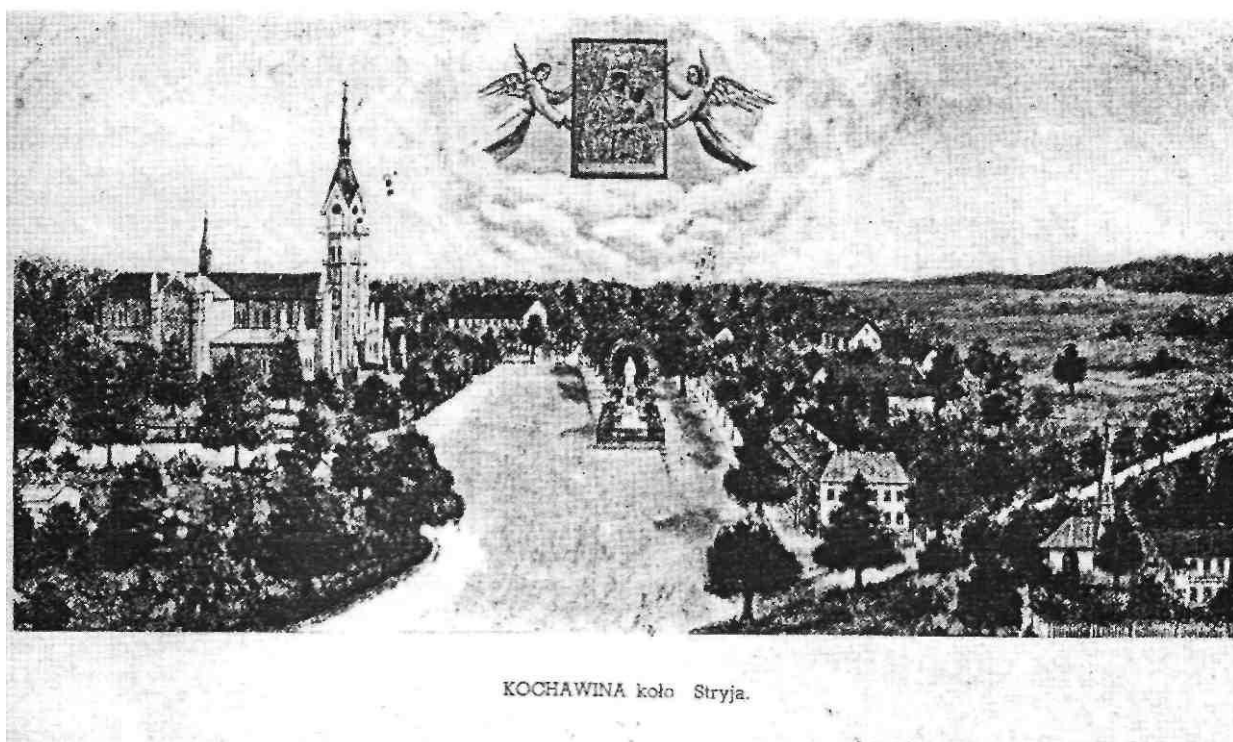
Przeżytałem wszystkie
tę numery Pana gazетки
od Łukowian.
Ja urodziłem się w Nowosy-
nach na Łukowiec chodzi-
liśmy do kościoła mój
tata to Jan Kurpisz miał
go cały Łukowiec i pobliskie
wioski zawsze przez Łukowiec
szedł do stacji Nowosielec
i często jeździł do Łwowa.
Mój mamuro to Balcino.
Kurpisz, było nas 5 siostr
Jadwiga, Helena, Stano, Julio,
i Genowefa, szkołę 4 klasom
ukończyłem w Nowosywnach
uczył mnie Józef Buczo-
wski, on też organizo-
wał półkolonie latem,
to jest zjeżdżać z półkolo-
nii, ja stoję koło niego
obok mnie stoi Staszo
Szymalski, obok niej
są dwie córki Buczkows-
kiego i syn Edward, są
to dzieci z Nowosywn
i Polaków, Opalińskich
Szymalskich, Dudków.
Jedną córkę Buczkowskiego
Jadwigę Jaskółka mieszka-
ła w Kichorowie, Hela,
we Kotońcu, a syn Edward
w Legnicy ukończył
studia orzeźmił się
i miał osierocić żonę i jej

Ojciec, Matka Edwarda
Buczkowskiego też mieszkali
w Legnicy też jest pochowana
w Legnicy. Wysyłałem też
odbitkę z Kochaniny
chodziliśmy z pielgrzymką
z Łukowca. Na skrzyżowaniu
Nowosywn i Łukowca miesz-
kał Jan Burdzy dobry kolega
tata się my domach chodzili-
śmy napić się wody jak
było gorąco, ostatnio mie-
szkali w Lipnicy, a groby
ich są w parafii Chomnigów.
i w Chomnigów są pochowani
moi rodzice. Nowosywny
musielismy opuścić pod
Ukraincy napisali kartkę
i przykleili do okna
że nas wyrzucą

i ojciec miał furmankę
i zabrał nas na Łuko-
wiec mieszkaliśmy w
Gawłiszki jej brat był
sudol Francuz i tak
mieszkaliśmy na Łuko-
wie 18 miesięcy, jechali-
śmy 9 tygodni, odkry-
tymi wagonami a byli
to grudzień i listopad.
Tam mieszkaliśmy w Chomnig-
ów koło Stalec.

Lycze Pani i całej
rodziny zdrowych
i wesółych życzę
Zmarłych ustalić
Pana Jezusa.

odbitki gazetek
z 2001 roku na
murowanej



Rodziny Polaków z Nowoszyn (Buczkowscy, Kurpisze, Opalińscy, Szynalscy i inni). Pierwszy z lewej - Józef Buczkowski.



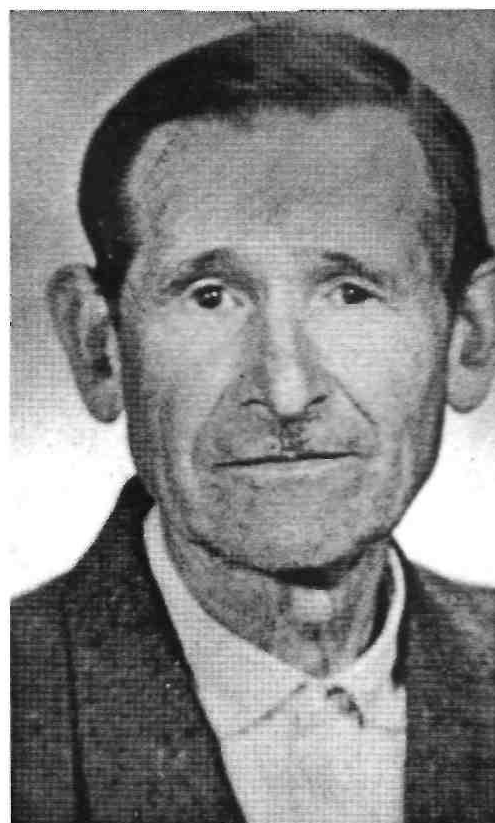
Leon Sutyła - łukowianin od 1939 - 1945
więzień obozu koncentracyjnego w Dachau.
Po wojnie osiadł w Anglii.



Jan Burdzy - zdjęcie przedwojenne.



Leopold Woś - członek "Samobronny",
mieszkaniec Łukowca Żurowskiego.



Jan Cygan - zdjęcie przedwojenne, łącznik w
"Samoobronie."



1943 r. - Maria Woś i Bronisława Graboś, Stanisław Woś z małżonką, zdjęcie z 1943 r. przed pomnikiem króla Jana Sobieskiego we Lwowie.



Od lewej: Mieczysław Burdzy zamieszkały po wojnie w Mieczkowie (obecnie Nowy Jork - USA); w środku: Maria Huńka; z prawej: Wojciech Burdzy.



Łukowianie - zdjęcie przedwojenne (od lewej: Waleria i Józef Furtakowie oraz Wiktoria Jarosz i Bronisław Partyka).



od lewej: Wiktoria Jarosz i Waleria Furtak.



Maria Rejman z matką i córkami (zdjęcie powojenne)

Rozmowy, wyjaśnienia ciekawostki, historyjki

Jak poprawiamy błędy!

Niektóre opisywane zdarzenia mogą zawierać drobne błędy czy niedomówienia. Przyjmujemy zasadę, że błędy poprawiamy, niedomówienia wyjaśniamy. Na ogół to co piszemy, przyjmowane jest przez Łukowian dość ciepło. Wiemy, że nie napiszemy wszystkiego o Łukowcu, ale możemy napisać sporo. Anegdotki ciekawostki i historyjki są mile widziane. Przypomnijcie je sobie i przyslijcie nam. Przecież Łukowiec to wieś wyjątkowa. Staram się, aby przygotowane pierwsze egzemplarze każdego „Zeszytu” jeszcze przed przekazaniem ich do druku kilka osób przeczytało, zwracając uwagę na poprawność faktów i opisywanych zdarzeń. W zeszycie nr 3 pod nieopisaną fotografią na stronie 11 należy wpisać właściwe nazwisko. Także na str. 13 zamiast „Józef Drozd” powinno być „Józef Drożdż”. Na str. 18 zamiast Wiktoria Kurtysz ma być „Wiktoria Kurpisz”. Za pomyłki przepraszamy!

Jak mówimy: „w Łukowcu” czy „na Łukowcu”?

Mieszkańcy Łukowca rozmawiając o swoich wsiach używają zamiennie zwrotów „na Łukowcu” i „w Łukowcu”. Także mówiąc „Łukowiec” mają nieraz na myśli obie wsie razem. Często używają też nazwy Łukowiec Stary” tzn. „Wiśniowski” i Łukowiec Nowy tzn. „Żurowski”. My do takiego nazewnictwa w „Zeszytach” dostosowujemy się.

Listy:

Otrzymałem jeszcze dwa krótkie listy od pana Tadeusza Malca z Chomiąży. Z potwierdzeniem, że jego Ojciec był na Łukowcu tkaczem. Pan Tadeusz pamięta warsztat, który zajmował dużą część

kuchni oraz pracę ojca wykonywaną przy pomocy rąk i nóg. Ojciec posiadał jak pisze pan Tadeusz Malec umiejętności zarówno ślusarskie jak i stolarskie a także potrafił zrobić np. hamonto dla konia, (wieś była w dużym stopniu samo wystarczalna). Po Ojcu zostało panu Tadeuszowi jedno krzesło zrobione jeszcze na Łukowcu.. Drugi list otrzymałem od Władysława Majdańskiego (rodzina z Łukowca ale nie spokrewniona z Józefem Majdańskim) Autor sugeruje, że w Zeszytach prawdy jest 80% a Ojciec mój i „Piorun” nie chcieli mówić wszystkiego. Mogę się nawet z tym zgodzić. Władziu twój Ojciec Jan miał możliwość opuszczenia Łukowca jeszcze przed mordami i wyjechał do Raniżowa w rzeszowskie skąd pochodził. To oczywiście świadczy o jego przezorności i roztropności i możliwościach. Część ludzi podobnie zrobiła (kilkanaście rodzin) Reszta została. Musiała się bronić, zresztą wyjechać nie mieli gdzie. Kilka rodzin w 1945 roku nawet ponownie wróciło na Łukowiec i z łukowianami wyjechali na Zachód. Tak zrobił między innymi Władysław Puzio. Rodzina mojego dziadka Antoniego Faszyńskiedra także wysłała syna do Krakowa. Nie widzę w takim postępowaniu nic niewłaściwego. Ludzie ratowali się, jak mogli. Jednak ci co wyjechali z Łukowca, wiedzieli mniej od tych, którzy tam przebywali całą wojnę. Ojciec mój za wiele nie opowiadał nikomu. Więc pewnie i na pytania Twoje i Twojego Taty, który był przecież jego szwagrem, też za wiele nie mówił. Partyzantów wiązała przysięga i tajemnica wojskowa. Kiedyś w rozmowie Pioruna z moim Ojcem słyszałem zdanie zadziwiające. Jeden potwierdził je drugiemu, że nawet Polak nie wiedział wszystkiego co na Łukowcu się działo. A jednak był to komendant - Człowiek jedynym, który na Łukowcu chodził ze stale pilnującą go ochroną, złożoną z dwóch partyzantów. Miał też władzę zmieniania wszystkiego łącznie z wyrokami Sądu Wojskowego. I jeszcze inna refleksja Gdy przyszli

Rosjanie, warty samoobrony wcale się nie skończyły, a sytuacja pod wieloma względami nawet się pogorszyła. Rosjanie bowiem chcieli jak najwięcej ludzi zabrać do armii. Istriebitielne bataliony, w tej sytuacji zatrzymały część młodzieży na miejscu. Było to bardzo korzystne dla Łukowca a Polacy w nich służący, jak to się mówi, trzymali język za zębami, wmawiając Rosjanom że bronili się przed Ukraińcami kosami i widłami. Pan Kuchta potwierdził, że w Istriebitielnych Batalionach sytuacja była bardzo trudna i że dwa razy Polacy buntowali się Rosjanom, mówiąc, że wolą już iść do Wojska polskiego, gdzie liczyli, że będą mieć lepiej

Spotkania

Spotkałem się z Panem Wojciechem Januszem (rocznik 1913. Ma dobrą pamięć. Nasze dość dalekie pokrewieństwo wyjaśnił mi z niezwykłą precyzją co mnie zdziwiło gdyż moja prababka (o czym zresztą wiedziałem) i jego ojciec byli rodzeństwem. Pan Wojciech ma kłopoty ze słuchem, ale to co mówi o dawnych czasach, warte jest zapamiętania gdyż oprócz spraw ważnych i ciekawych opowiada też o sprawach, które mi się do Zeszytów nie przydadzą. Spróbuję znaleźć trochę czasu aby go jeszcze odwiedzić. Bardzo dobre wrażenie zrobił też na mnie pan Edward Puzio niestety zmarł kilka miesięcy temu. Od kilku osób otrzymałem też informację że Kazimierz Paczkowski z Brunowa dużo pamięta. Nasze pierwsze spotkanie może nie było zbyt owocne, ale potwierdziło i poszerzyło mi horyzonty na temat Istriebitielnych Batalionów. Mam cichą nadzieję, że do prac nad Zeszytami włączy się Pan Tadeusz Malec, od którego otrzymałem już trzy listy i mam nadzieję, że może mi ułatwić dostęp do łukowian i z okolic Środy SI. i Malczyc. Zapraszam go serdecznie do współpracy. Ponieważ w kilku listach zapytano mnie o Jana Burdzego czy to rodzina ? - Odpowiadam: Wszyscy Burdzowie uważali się za rodzinę. Po pierwsze dlatego, że wszyscy

przyjechali ze wsi Burdze, a po drugie większość z nich była spokrewniona. Starzy łukowianie wiedzą też że bardzo się popierali i jak to powiedział pan Kureń jeżeli z jednym zacząłeś się wadzić wszystkich siedmiu miałeś już na sobie obrażonych. Na Łukowcu mieszkało 7 rodzin Burdzych, kilka rodzin we wsiach w pobliżu Łukowca i kilka koło Dubna we wsi Witosówka. Bez trudu też znalazłem w albumie rodzinnym fotografię Jana Burdzego z okresu przedwojennego.

Finanse Zeszytów

Wydrukowanie Zeszytu Nr 3 kosztowało 1000 zł. I to tylko dlatego, że szef drukarni po przeczytaniu wydania powiedział, że pochodzi też ze Wschodu i obniża mi cenę o 150 zł. Na moje pytanie dlaczego kwota stale się zwiększają odpowiedział, że stron w każdym kolejnym zeszycie jest coraz to więcej a i liczba fotografii ma wpływ na cenę. Od czytelników otrzymałem 1080 zł z czego na podanym w trzecim numerze koncie znalazła się kwota 130 zł. 70 zł- Stary Dwór. 50 zł R.P. z Poznania, 50 E.S Lubin, 50 zł T.M. Szczecin oraz 90 zł od dwóch rodzin Z. i 40 zł od innych osób. Pani Józefie Miśkiewicz z Chicago dziękuję za zainteresowanie się Zeszytami i przesłane zdjęcia. Może nie powinienem tego pisać ale od niej i od pana Grzegorza Kuświka (żona z domu Siekierska) otrzymałem największe datki, które spowodował iż koszty trzeciego Zeszytu zwróciły mi się praktycznie całkowicie. Jeszcze jeden sprawa, która co chwilę powraca, a związana jest z fotografiami do Zeszytów Jeżeli już nie możecie Państwo wypożyczyć mi na jakiś czas oryginalnych zdjęć, to zróbcie przynajmniej porządne odbitki fotograficzne. Otrzymuje sporo zdjęć wykonanych na ksero. Jakość kopii jest tak mizerna że praktycznie nie powinienem z nich korzystać. Drukarnia informuje mnie, że niektóre zdjęcia i tak podświetla aby były lepiej widoczne. Nie ukrywa też, że papier jest lichy, a cena za egzemplarz znacznie by spadła gdybym drukował więcej egzemplarzy. Zdjęcia,

które mi państwo przesyłacie, powinny na odwrocie zawierać opis oraz nazwisko właściciela wpisane choćby ołówkiem. Będzie pewność, że je zwrócę.

Spis rodzin zamieszkałych w Łukowcu Żurowskim

Spis ten zapoczątkował pan Edward Sabat wypisując około 80 rodzin. Dalszą częścią spisu zajął się pan Grzegorz Woś i Pan Jan Kuchta wypisując ulicami w sumie ponad 200 rodzin. To jest już liczbą odpowiadającą ilości rodzin zamieszkujących Łukowiec Żurowski. Marzy mi się, aby o każdej rodzinie napisać choćby dwa trzy zdania. No i zabrać się za spis drugiego Łukowca Wiśniowskiego.

Dziedzic Kowalewski

Wszyscy mówią o nim dobrze. Pan Kureń twierdzi, że był to prawdziwy katolik, człowiek, który gotów był pomóc każdemu, kto pomocy potrzebował. Na Łukowiec przyjeżdżał z Wiśniowa z rodziną co niedzielę do kościoła. Gdy słyszał o jakimś ludzkim nieszczęściu starał się pomóc. Gdy ktoś się np.: spalił, zawsze otrzymywał od Kowalewskiego za darmo asygnatę na 10 czy 20 m³ drzewa na budowę nowego domu.

„Co słyhać na Łukowcu”!

Księżna Czartoryska, której po wejściu Rosjan groził Sybir, została wywieziona do niemieckiej strefy okupacyjnej przez niemieckich kupców (agentów), którzy specjalnie przyjechali po to, aby księżną i rodziną ratować. Pisała na Łukowiec do pana Mariana Czecha, który przed wojną pracował w majątkach Czartoryskich. Pytała o swoje folwarki i o to co na Łukowcu słyhać?. Pan Marian Czech po wojnie mieszkał w Osieku. Może ktoś z jego rodziny coś nam więcej o Czartoryskich napisze?

Pan Henryk Liberman

Pan Henryk Liberman ukrywał się na Łukowcu u państwa Kuchtów. Pod koniec wojny, gdy przyszli Rosjanie, tak samo jak część młodych Łuko wian, wstąpił do Istriebitielnych Batalionów. Nasze „Zeszyty” interesują go i czyta je bardzo dokładnie. Obecnie Pan Henryk Liberman mieszka w Dusseldorfie w Niemczech i z tego co się o nim dowiedziałem jest wicerabinem. Po polsku mówi bardzo dobrze. W tym roku ma zamiar odwiedzić nasz i swój kraj i między innymi spotkać się z rodziną Kuchtów. Nawiązując do wątku pomocy Żydom, dowiedziałem się, że jeszcze 4 Żydów przechowywało się na Łukowcu u Julka Szota a także 2 - eh u państwa Żaków. Są to następne rodziny, o których wiemy, że w tych strasznych czasach zaryzykowały swoje życie dla ratowania bliźnich.

Koń Pioruna

Pan Edward Sabat utrzymuje, że Piorun jeździł na koniu Martków. Sam Piorun mówił, że jeździł na komu Furtaka. Pan Sabat wyjaśnił że naprawdę koń Martków przewyższał wszystkie czworonogi na Łukowcu o kilka klas. Podkreśla półżartem, że to konisko miało więcej rozumu niż niejeden rolnik i tylko on mógł „Pioruna” z takiej opresji jak bagno wyciągnąć. Ten wątek dał się jednak wyjaśnić i to nie po myśli pana Edwarda. Zanosząc trzeci Zeszyt Pani Juli Gnojkiej z domu Furtak, ususzałem od niej, że Piorun jeździł na koniu jej ojca. I raz, jak przyjechał, był cały utyłany w wodzie i błocie. Wszedł do domu mówiąc „Omal się nie utopiłem”. Koń, którego cała rodzina oglądała, miał, jak mówi pani Julia suchą tylko głowę. Pani Julia mówiła też, że była świadkiem rozmowy ojca z „Piorunem”, w której ojciec mu mówił: „Pan wie, gdzie jest siodło, niech pan nie przychodzi pytać, o pozwolenie wzięcia konia za każdym razem. Proszę go brać, kiedy tylko będzie panu potrzebny”. Tak więc, panie Edwardzie, dwa konie na Łukowcu zasługiwały na miano mądrych

zwierzaków.

Jak kogut Watrasów zrobił karierę we Lwowie.

Któregoś dnia, jeszcze na początku wojny, rodzinę Walentego Watrasa odwiedziła kuzynka, lwowianka pani Dulska ze swoim synem Zdzichem. Chłopak miał 9- 10 lat i tak zachwycił się inwentarzem, że nie poszedł nawet do domu tylko oglądał krowy, konia i króliki, których pełno latało po stajni i podwórku. Gdy mama po jakimś czasie wyszła po dziecko, ten akurat zauważył koguta - Oczu nie mógł, od niego oderwać. Piękny, czerwony z puszystym ogonem i kolorową głową, wydawał się nadzwyczajnym zjawiskiem. Mowy nie było, żeby poszedł do izby. Jego pragnienie, aby mama mu go kupiła zadziwiło rodziny Watrasów i Dulskich. W końcu pan Walenty zdecydował, że dzieciak koguta otrzyma w prezencie. Po złapaniu ptaszyny dziecko coś zjadło, koguta jednak nie spuszczało z oczu. Jego pomysł, że uwiąże go jak psa na smyczy i będzie z nim po całym Lwowie biegał, rozbawił wszystkich do łez. Jak to się z tym kogutem skończyło, to nie wiem, ale widziałem, mówi pan Edward Sabat, jak go żywego do Lwowa pani Dulska w koszyku wywoziła.

Człowiek spod szczęśliwej gwiazdy

Człowiekiem spod szczęśliwej gwiazdy (jak mówi pan Edward Sabat) był Marian Chmielowiec. Służył w Istribitielnych batalionach, któregoś dnia gdy wracał w zimie w kozuchu na posterunek strzebków, a miał w obu kieszeniach po dwa granaty, usłyszał syk typowy dla odbezpieczającej się zawlecзки. Włożył błyskawicznie rękę do kieszeni i wyrzucił jeden z granatów a jednocześnie upadł w zaspę śnieżną. Na przeżycie miał ułamki sekund. Po odbezpieczeniu granat wybuchła po 5 sekundach i udało się wybuchnąć ten wyrzucony. Innym znowu razem wyprowadził konia ze stajni, aby nim trochę pojeździć, żeby się koń nie zastał. Podjechał pod las, tam

trochę pogalopował i gdy już miał zawracać, z lasu wyszli Rosjanie. Zobaczyli jeźdźcę. Od razu doszli do wniosku że to oni go z lasu wypłoszyli i że to banderowiec. Otworzyli do Chmielowca ogień z karabinów maszynowych. Pan Marian zrobił zwrot i jak mówił potem, kule tylko świstały ze wszystkich stron, a on na siwku wiał, aż wpadł do lasu i lasem do Łukowca. Ni konia, ni jego żadna z kul nie dosięgła. Inne jeszcze zdarzenie miał będąc w Bukaczowcach. Spotkał tam łukowiankę Wandę Furtak umówili się z nią, że będą wracać razem na Łukowiec, bo kobieta bała się iść sama. Po drodze na Wandolinie natknęli się na banderowców. Z tej sytuacji także wyszli cało dzięki Rosjanom, których czołg nagle nadjechał z drugiej strony drogi.

Władysław Cisowski czy Józef Majdański

Pan Edward Sabat był świadkiem incydentu pomiędzy Władysławem Cisowskim i Józef Majdańskim. Cisowski stał przed domem Sabatów na warcie, gdy nadchodził Majdański żeby go złuzować. Przy zmianie warty podawano hasło i Cisowski zażądał go. Na co Majdański odrzekł - „Co ty Władziu mnie nie poznajesz? -. Cisowski znowu zażądał hasła - Majdański na to: „Ty oślepieś - gdyby była noc to rozumie ale teraz ... bielmem ci oczy zaszyły?” - Cisowski stał z kosą i mówi „Hasło albo cię poczęstuję”. - Majdański ani myślał je podać. W końcu zbliżyli się na taką odległość, że jak mówił pan Sabat mrowie go przeszło po krzyżu. Obaj w rękach mieli kosy na sztorc. Kłótnia trwała. Cisowski żądał dyscypliny. Majdański mówił coś o kurzej ślepocie. Wrzaski przeniosły się do domu pełnego ludzi. Obaj udowadniali swoje racje Dowódca placówki Stanisław Sabat, widząc że nikt na warcie przed domem nie stoi, wysłał tam trzecią osobę. Po połowie godziny, gdy nic a nic się nie zmieniało Sabat, jako dowódca placówki z trudem przywołał obydwu gospodarzy do

porządku.

Karabin Maszynowy

Broni nigdy nie było na Łukowcu za dużo, ale jak mówi pan Kureń, zdobywało się ją najróżniejszymi sposobami. Kazik Kureń, kuzyn pana Józefa, miał ciężki karabin maszynowy kupiony od Węgrów w 1941 roku za worek mąki. Madziarzy pozbyli się go bo był zepsuty. Polacy jednak poradzili sobie z nim i naprawili go szybko. Czekał w pogotowiu. Czasem słyszałem, jak mówi pan Józef Kureń, takie króciutkie kilkustrzałowe serie. Chodziło Kazikowi o to, by broń przestrzelać, a jednocześnie zużyć jak najmniejszą ilość amunicji.

Konsylium

Ksiądz Roman Daca opisuje konsylium wiejskich kobiet, w sytuacji, gdy nogi zaczynały mu puchnąć i stan jego zdrowia wydawał się krytyczny. A jednak nasze babcie miały swoje sposoby, aby w wielu sytuacjach pomóc sobie i drugiemu człowiekowi. Mieszkająca na Wałach Śląskich pani Bronikowa (nie była łukowianką) wołana była do pomocy przy porodach kobiet gdyż wszyscy wiedzieli, że to umie robić i w sytuacjach nagłych rozwiązań, gdy lekarz nie zdążył dojechać dawała sobie radę odbierając i pomagając nie tylko wiejskim kobietom, ale nawet nauczycielkom czy żonom inżynierów. Moja babcia Ewa na Wałach Śląskich wołana była do krów gdy te nie mogły urodzić i na ogół także dawała sobie radę przekraczając czasem ciele w łonie matki i pomagając zwierzętom przy trudnych porodach. Na Łukowcu takim specjalistą weterynaryjnym był pan Andrzej Kureń. Fachu nauczył się w Stanach Zjednoczonych. Miał torbę z najpotrzebniejszymi narzędziami. Wołany do krów sprawiał się dobrze. Pan Józef Kureń mówi, że Ojciec w ciężkich przypadkach, gdy nie dało się już nic zrobić, potrafił ciele pociąć w łonie krowy i po kawałku powyciągać te części. Zawsze w takich sytuacjach podbramkowych ratowało się krowę nie ciele.

Wracając jednak do księdza Dacy, bardzo bym chciał wiedzieć u kogo na Łukowcu przebywał i kim były te panie, którym ksiądz zawdzięczał ozdrowienie.

Dogawor

Sprawa porozumienia z Ukraińcami pod koniec wojny, o której wspomniał mi ostatnio pan Kazimierz Paczkowski, wymaga na pewno szerszego omówienia, tym bardziej, że i Polacy i Ukraińcy dotrzyмали jego warunków. Pan Paczkowski, który był w ochronie grupy oficerów ustalających zasady dogaworu (porozumienia) mówi, że ono zarzutowało w bardzo korzystny sposób na samo wysiedlanie Polaków. Po prostu, aby dotrzeć do stacji, z której wyjeżdżały transporty na Zachód, trzeba było przejechać przez kilka wsi ukraińskich. Po porozumieniu nie było przypadków atakowania wysiedlających się ludzi z Łukowca.

Prezentujemy ludzi zasłużonych (partyzantów, członków samoobrony, łukowian i mieszkańców innych miejscowości).

Zdaję sobie sprawę, że te opublikowane 40 fotografii partyzantów i członków samoobrony Łukowca to tylko mała częśćka ludzi, których należało by zaprezentować w naszych „Zeszytach” Apeluję więc o przysyłanie fotografii partyzantów i tych osób, które były członkami samoobrony (wartowali) i przysłużyli się do przetrwania Łukowca w latach II Wojny światowej. Na odwrocie fotografii, jeszcze raz proszę o wpisanie nazwiska właściciela zdjęcia i opis tego co ono przedstawia.

Opracował teksty: Franciszek Burdzy;
Zdjęcia: Barbara, Dębicka, Jan Kucht,
Grzegorz Woś, Józefa Miśkiewicz, Maria Supernat, Tadeusz Malec, tel. kontakt. 076-8446049.